odgłosy tygodnik łódzki

Nr 4 (204) Rok V. ŁÓDŹ, 28.I. 62 r. Cena 1 zł

ALEKSANDER POSTOŁOW

DROGI i BEZDROŻA KULTURY

Dyskusja nad sprawami kultury rzadko kiedy wychodzi u nas poza ramy fragmentarycznych rozważań. Z reguły „bijemy na alarm", kiedy sytuacja na poszczególnych odcinkach nabrzmiewa „katastrofą". Przypomina to łatanie dziurawego worka. Kiedy „dziura" już załatana, „burza" ucicha aż do następnego, nieuchronnego na skutek żywiołowej działalności, pęknięcia. Oczywiście, także tego rodzaju dyskusje są potrzebne i pożyteczne, stanowią jednak paliatyw nie sięgając źródła zła. Dla patrzącego z boku, życie kulturalne w Łodzi może wydawać się czasem nawą miotaną w różne strony, targaną sprzecznymi prądami i ambicjami, bez wyraźnego kierunku. W dobie planowej gospodarki opracowywania modeli rozwojowych na przyszłość, zdanie się na żywioł w tak ważnej dziedzinie życia społecznego, jaką jest kultura, to chyba już anachronizm. Żywiołem zaś nazywam rozproszkowaną, nieskoordynowaną działalność licznych instytucji podejmowaną nieraz bez uwzględnienia potrzeb środowiska, z reguły zaś bez wytyczenia kierunku zmierzającego ku określonemu celowi.

Nie mogę, niestety, zadowolić się powtarzaną przez niektórych działaczy formułką o rosnących wśród szerokich warstw społeczeństwa „tęsknotach kulturalnych", by snuć na tej kanwie optymistyczne rozważania. Bazując na tych bliżej nieokreślonych tęsknotach można kształtować i utrwalać różne światopoglądy. Puszczenie sprawy na żywioł przyczynia się, zwłaszcza w środowiskach wchodzących dopiero w życie kulturalne, do ulegania naciskowi drobnomieszczaństwa, do czerpania tanich i łatwych wzorów życia towarzyskiego i nie tylko towarzyskiego od tzw. „górnych warstw", do rozwoju swoiście pojętej „kultury" i wrogiego nam światopoglądu. A przecież w określeniu „światopogląd" mieści się stosunek do naszej rzeczywistości, stąd płynie i styl życia, i stosunek do pracy oraz innych przejawów życia społecznego. To, a nie co innego determinuje świadome włączenie się do procesu budowy socjalizmu. Jeśli pozwoliłem sobie przypomnieć o sprawie oczywistej, która już dawno zdobyła prawo obywatelstwa wśród działaczy kulturalno-oświatowych, to dlatego, że sprawa światopoglądu jest jednym z wektorów określających kierunek działalności kulturalnej.

Ale jest i drugi wektor. Jest on związany ze środowiskami, ich tradycjami, płynącymi stąd potrzebami. Budzenie i zaspokajanie potrzeb środowiska, to także jeden z zasadniczych czynników wpły-

Dalszy ciąg na str. 7

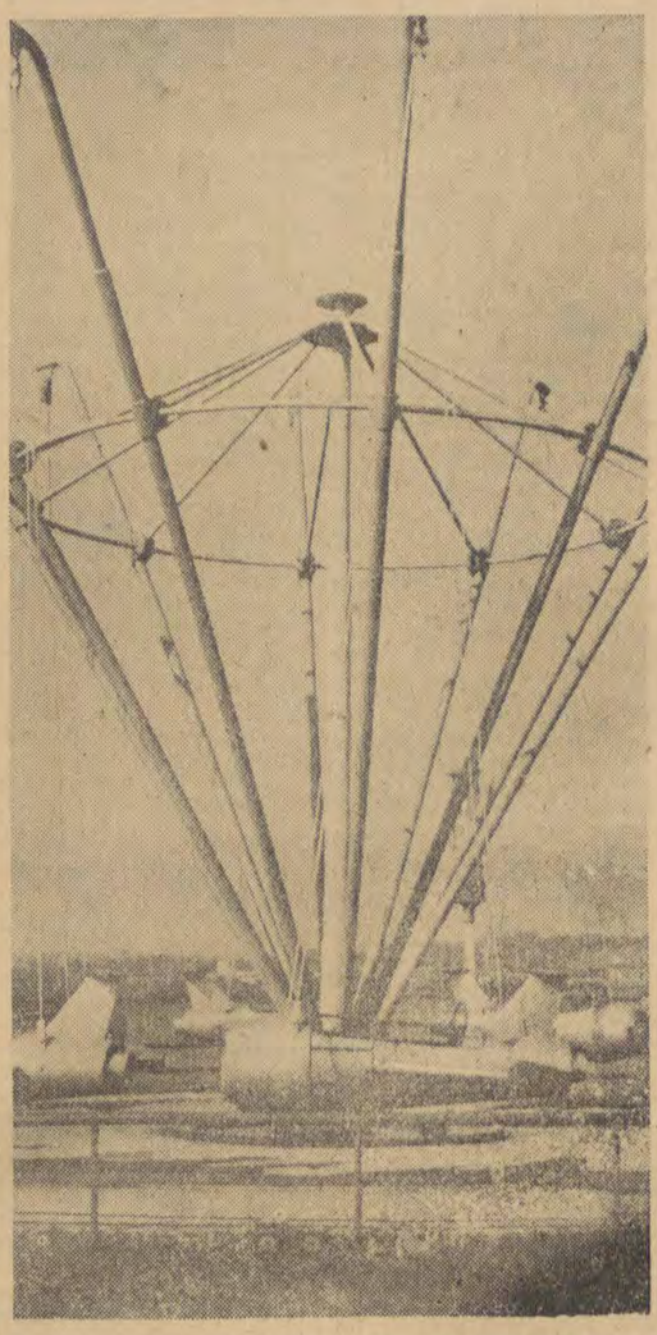

Samoloty na uwięzi w chorzowskim „miasteczku".

Helikopterem w Krainę Fantazji

JAKI BĘDZIE Łódzki Park WYPOCZYNKU?

Tak więc maluczko, a doczekamy się w Łodzi „Parku Wypoczynku" — czyli wesołego miasteczka z prawdziwego zdarzenia, takiego, które odpowiadać będzie potrzebom, gustom i poziomowi współczesnego człowieka.

Naturalną śmiercią zemrą sobie — być może — odpustowe karuzele z placu Niepodległości, co zamieniały Łódź w Kozią Wólkę, a zamiast odpoczynku i rozrywki dawały często okazje do chuligańskich wybryków.

Co roku, porą letnią wypływa sprawa zorganizowania właściwego wypoczynku dla tysięcy ludzi pracy, co roku dotychczas załatwiamy ją za pomocą nieciekawych festynów w przedmiejskich parkach, gdzie ludzie z braku lepszej rozrywki nie rozstają się najczęściej z butelczyną.

Potrzeba trochę dobrych chęci, nieco mniej niż 50 milionów złotych, dobrego pomysłu i wspólnego wysiłku, by rzecz uległa radykalnej zmianie. Chęci, pieniążki i pomysł — już są. Co z tego wyniknie?

Zapraszamy naszych czytelników na małą wycieczkę w przyszłość, przyszłość niedaleką i jak najbardziej realną. Cóż znaczą 4 lata, które jeszcze wypadnie nam odczekać? Otóż być może, iż za małe 4 lata ja — autor tego artykułu i ty — czytelniku spotkamy się np. na placu Zwycięstwa w „rządku" do helikoptera.

ZA CHWILĘ NASTĄPI START

Wznosząc się w górę zerkniemy na panoramę Łodzi, by wkrótce wylądować w pobliżu radiostacji, przed bramą parku. Tam, gdzie dziś pustymi polami przebiega trasa tramwaju „22", ukaże się naszym oczom

Dalszy ciąg na str. 5

Współczesna urbanistyka nie zapomina o rekreacji

ROZMOWA ODGŁOSÓW z:

doc. dr. BOLESŁAWEM LEWICKIM

kier. Zakładu Wiedzy o Filmie U.Ł.

o:

- **filmie potrzebnym**
- **wiedzy filmowej dla nauczycieli i młodzieży**
- **umiejętności patrzenia na ekran**
- **współczesnej sztuce filmowej i jej miejscu w kulturze**

— Miło nam przedstawić beniaminka łódzkich instytucji naukowych jakim jest (chociażby ze względu na wiek) Zakład Wiedzy o Filmie Uniwersytetu Łódzkiego. Prócz niedługiego okresu istnienia (powstał w 1959 r.) jest on także pierwszą i jedyną tego typu placówką uniwersytecką w Polsce. Jakie są założenia dydaktyczne i naukowe prowadzonego przez Pana Profesora zakładu.

— Nie chciałbym na to odpowiedzieć jednym zdaniem...

— Taki olbrzymi program działania?

— Może nie tyle olbrzymi, ile trochę złożony i skomplikowany...

— O, zawsze myślałam, że film to taka zwykła i prosta sprawa...

— Powszechna, chciała Pani powiedzieć, ale chyba nie prosta. Właśnie o to nam chodzi, aby na film patrzeć jak na sztukę, sztukę najbardziej masową, ale w całym tego słowa znaczeniu.

— A jak się powszechnie patrzy?

— Od strony realii gwiazdorskich. Ogląda się gwiazdy filmowe i to też najczęściej nie ze względu na ich grę ile na toalety, na famę wokół nich zrobioną. Tak już nie wolno patrzeć, zwłaszcza na film współczesny.

— Rozumiem. Dzisiejszy film to przecież zjawisko społeczno-kulturalne a nie tylko estetyczne.

— Słusznie. Jest on swoistym drugim nurtem literatury i dlatego wymaga badań teoretycznych na tle konkretnych zjawisk literackich, społecznych, filozoficznych nawet historycznych. Bo film jest sztuką przede wszystkim opowiadającą, dlatego najważniejszą jest jego treść, uwarunkowanie społeczne, polityczne, a forma jest, tak jak i w literaturze, elementem. W tym też kierunku idą nasze prace doktorskie, magisterskie, w których ukazujemy film w zestawieniu z literaturą, a nie tylko jako samodzielną formację estetyczną.

— Uwzględniacie więc zapewne również i momenty socjologiczne i psychologiczne, tak bardzo podkreślane w filmie współczesnym, zwłaszcza ostatnio w filmie polskim.

— Jak najbardziej. Ten kierunek badań nawiązuje do założeń Paryskiej Szkoły Filmologów przy Sorbonie, która w pracach badawczych podkreśla przede wszystkim momenty socjologiczne i psychologiczne filmu, tłumaczące jego istotę i działanie. Interesuje nas również samo zagadnienie tekstu i słowa w filmie, podkreślam — słowa a nie tylko dźwięku.

— W jaki sposób zamierza Zakład Wiedzy o Filmie przekazać społeczeństwu, szerokim masom widzów filmowych, wyniki swych badań nad sztuką filmową?

— Poprzez różnego rodzaju publikacje naukowe i popularne oraz — i to przede wszystkim — poprzez działalność naszych absolwentów, instruktorów wiedzy o filmie działających w różnych ośrodkach kuratoryjnych, powiatowych i szkolnych.

— I szkolnych? Czyżby więc film miał zawędrować i do programów szkolnictwa średniego?

— Jest taka koncepcja, a nawet już cały plan opracowany przez Ministerstwo Oświaty wspólnie z Naczelnym Zarządem Kin. Wszystkie szkoły mają otrzymać aparaturę dźwiękową do wyświetlania filmów i na to preliminuje się dość poważne kwoty. Niemniej jest to wciąż jeszcze wielki problem dla nas...

— Domyślam się nawet jaki. Zapewne konserwatyzm szkoły i wynikające z tego pewne opory...

— Tak. Nie wszystkie ośrodki nauczycielskie zostały przekonane, że dziś wiedza o filmie potrzebna jest młodzieży niemniej niż o literaturze. Do tego wielki brak kadr i konieczność ich uniwersyteckiego kształcenia. Jak wiadomo zakład nasz jest jak dotychczas jedyny w Polsce. Z innych miast uniwersyteckich tylko Kraków zdradza chęci zorganizowania u siebie podobnej placówki naukowo-badawczej, a Zakład Filmu Instytutu Sztuki PAN jest placówką wyłącznie badawczą.

— Z tego wynika, że na Łódź, na łódzki Zakład Wiedzy o Filmie przypada rola szkolenia sztabu do ogólnokrajowej akcji upowszechniania wiedzy o filmie?

— Raczej tak. Jesteśmy też jedynym konsultantem całej akcji ministerialnej związanej z planem wprowadzenia wiedzy o filmie do programów szkół średnich. Staramy się z tego obowiązku wywiązać, niemniej coraz bardziej odczuwamy potrzebę stworzenia analogicznych co nasza placówek naukowo-badawczych przy innych uniwersytetach w Polsce. Zwłaszcza, że i tak Polska jest bardzo spóźniona z tym w porównaniu z innymi krajami. To, że w Łodzi został zorganizowany tego rodzaju zakład przy Uniwersytecie jest wielką zasługą łódzkich działaczy naukowych, jak rektora UŁ prof. dr Szpunara, prof. dr Skwarczyńskiej, prorektora prof. dr Zabłockiego i prof. dr Kawyna, dziekana Wydz. Filolog. UŁ. Gdyby tak jak oni myśleli profesorowie innych uczelni...

— W jaki sposób Łódź korzysta z istnienia w jej murach tak wyjątkowej instytucji jaką jest Zakład Wiedzy o Filmie?

— Aczkolwiek jesteśmy placówką młodą, pierwsza kadra filmologów poszła już od nas w świat i działa w różnych ośrodkach kraju (w tym najwięcej w Łodzi) jako instruktorzy wiedzy o filmie. W Łodzi np. działa mgr Ewa Nurczyńska oraz wraz z nią mgr Wróblewska, z ramienia władz szkolnych, inni jak mgr Pola Wert, mgr Zygmunt Machwitz, są pracownikami naukowymi Zakładu. Nie można też pominąć mgr M. Gunioli z Legnicy, który tam prowadzi eksperymentalny ośrodek pracy filmowej w szkołach i wśród młodzieży. Jeśli idzie o dydaktyczną stronę naszej działalności to w tej chwili 8 magistrów jest już na wylocie, a inni są w trakcie kształcenia. Mamy też otwarte 4 przewody doktorskie mgr Polikert, mgr M. Kornatowska, mgr E. Nagurskiej i mgr B. Mruklik oraz jeden zagraniczny z Uniwersytetu w Brnie. — mgr Senka Smejkala.

— Wróćmy jeszcze na chwilę do naszej rozmowy o filmie. Wspomniał Pan, że na ogół widz nie potrafi patrzeć kompleksowo na sztukę filmową, że oglądając np. projekcję w kinie widzi on bardzo wąsko, jednotematycznie, nie kojarząc w odbiorze takich elementów składowych każdego filmu współczesnego jak podłoże historyczne, obyczajowe, treść filmu, jego forma artystyczna itp.

— Ciekawe, w jaki sposób jakimi metodami uczycie tak patrzeć na film swoich słuchaczy?

— Trudno mi będzie zaspokoić zainteresowanie czytelników w ramach tak krótkiej rozmowy. Może więc tylko przypomnę raz jeszcze naczelną zasadę naszych badań nad filmem tj. zasadę patrzenia na film jako na część składową współczesnej polskiej kultury, wymagającą analogicznego spojrzenia i analizy jak literatura, teatr i inne gałęzie sztuki. Zasady tej przestrzegamy we wszystkich tematach opracowywanych w Zakładzie, takich np. (podaję tu kilka dla orientacji) jak „Nowele Zawieyskiego w książce i na ekranie" albo „Cztery wersje Matki Joanny od Aniołów") Kawalerowicza, Iwaszkiewicza, Kołakowskiego „Dama i pleć" oraz Huxleya — jego dramat na temat „Matki Joanny"), i inne. Naszą ambicją jest żeby na podstawie naszych prac przyszły historyk mógł włączyć problematykę filmu obok problematyki literatury i teatru do dziejów naszej kultury.

— To bardzo interesujące. Czy w podobny sposób, choć siłą rzeczy bardziej popularnie, uczycie widzów patrzeć na film podczas prelekcji i pokazów organizowanych przez waszych instruktorów w klubach dyskusyjnych?

— Dążymy, aby widz uczył się patrzeć na film, spostrzegając wszystkie elementy filmu, o których już mówiliśmy w powiązaniu z tłem historycznym, na jakim rozgrywa się akcja. W tym kontekście film staje się nie tylko przeżyciem estetycznym, ale i środkiem poznania historii, literatury... I jeśli się weźmie pod uwagę o wiele większą komunikatywność filmu niż np. książki (czy Pani wie, że podczas niedawnego spektaklu dyskusyjnego w Kinie Studyjnym okazało się, że na kilkadziesiąt osób, które brały w nim udział, tylko 5 osób czytało „Matkę Joannę od Aniołów" Iwaszkiewicza?) nietrudno wydedukować dlaczego ze wszystkich sztuk film jest najbardziej masowym orężem oddziaływania na ludzi, dokształcania i uświadamiania.

— W czym leży tajemnica sukcesów „polskiej szkoły filmowej"?

— W wielkiej ambicji jego twórców oraz w polskiej egzotyce. Niech Pani znajdzie gdzie indziej zjawisko podobne do Andrzeja Munka, któremu najpoważniejsze zagraniczne czasopisma naukowo-filmowe poświęcają całe strony. Ta egzotyka, umiejętnie pokazywana w filmie podkreśla głębokie problemy współczesności, przemawiając swą treścią i artystyczną formą do widzów całego świata. Filmy te są przy tym bardzo socjalistyczne w treści i bardzo indywidualne w formie i to również stanowi o ich światowej randze.

Można więc powiedzieć, że współczesny film polski jest ambitniejszy, bardziej oryginalny niż współczesna literatura polska?

— Wyjąwszy kilka dzieł wybitnych, chyba tak. Czyż to nie wystarczający powód, aby przyznać mu wreszcie należne miejsce w polskiej kulturze?

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

JERZY FELIKSIAK

SIŁACZKA i nauczyciel nowoczesny

czyli uwagi o autorytecie

Toczące się od dłuższego czasu dyskusja o postawie nauczycieli i zdarzających się konfliktach domu ze szkołą zmusza do poważnej zadumy nad problemem autorytetu nauczyciela. O tym, że sprawa ta była zawsze i jest obecnie pierwszorzędnego znaczenia nie ma potrzeby przekonywać. Od siły nauczycielskiego autorytetu zależy szansa wychowawczego oddziaływania na dzieci i młodzież, zależy udział Szkoły w kształtowaniu nowego społeczeństwa.

W toku dyskusji toczącej się od lat pojawiały się nowe definicje, nowe argumenty, wylano trochę lakieru i żółci, lecz widocznie recepty były złe lub nie zostały zrealizowane, gdyż sytuacja nie ulega poprawie.

Znaczna część dyskutantów przyczynę obniżenia się autorytetu widzi w stosunkowo słabej pozycji materialnej nauczycielstwa. Ale czy tylko od niej zależy los autorytetu?

Istnieją jeszcze dziedziny, w których pieniądze nie odgrywają decydującej roli. Spośród wielu definicji autorytetu, definicja prof. Jana Szczepańskiego jest tego najlepszym potwierdzeniem. Profesor stwierdza: „W historii nauki zawsze decydował jeden autorytet: poprawna obserwacja faktów i poprawne rozumowanie. Gdzie autorytet ten przestaje działać — tam kończy się nauka. ...Podobnie ma się sprawa w wychowaniu. Nie ma wychowawcy bez możliwości sprzeciwiania się nakazom niezgodnym z sumieniem... Jeśli autorytetem w nauce jest poprawność metody, to autorytetem w wychowaniu jest godność człowieka prawdomównego". (Kronika 16-XI-55 r.).

Wynika więc z tego, że nie potrzeba rodzić się ani Krezusem, ani Siłaczem, aby zdobyć autorytet i być dobrym nauczycielem. Z drugiej jednak strony zachowanie godności człowieka prawdomównego nie jest sprawą prostą. Przykłady przytaczane na łamach czasopism („Tygodnik Kulturalny", „Życie Literackie", „Odgłosy") świadczą, że istnieją w pracy nauczyciela sytuacje, w których wymogi prostej definicji są przekreślane. Często dzieje się to z przyczyn obiektywnych, lecz bywają również wypadki, gdy winnym jest pedagog. Przeważnie jest to pedagog, pozbawiony umiejętności poprawnego obserwowania i rozumowania, pedagog przeczący samemu sobie, niekonsekwentny w postępowaniu i bezradny wobec niesfornych wychowanków. A wychowankowie bez trudu potrafią odkryć dwulicowość, brak obiektywizmu i lęk przed jakąś mocniejszą argumentacją.

Dwulicowość nie zawsze musi odnosić się do spraw wielkich — światopoglądowych. Wystarczy wyłudzić prawdę o winie za obietnicę darowania kary i potem nie dotrzymać przyrzeczenia, by być dwulicowym. Wystarczy również ujawnić indolencję w trudniejszej sytuacji wychowawczej, by być lekceważonym. I wówczas nie pomoże dyplom, stanowisko oratorski talent i wzór elegancji — pod żadną maską nie ukryje się braku autorytetu. Ci, którzy sądzą inaczej, przypominają pewnego naukowca, który zobaczywszy podczas swego wykładu uśmiechającego się studenta polecił mu zgłosić się do gabinetu. „Może mi kolega wyjaśni, co go rozśmiesza w moim wykładzie? Czy przypadkiem nie jest to chęć poderwania autorytetu?" — spytał groźnie.

Student, który uśmiechał się do czarującej koleżanki, stał jak oniemiały, przepraszał, próbował wyjaśnić, usprawiedliwić się — daremnie. Wykładowca nie uwierzył. Był przekonany, że starano się poderwać jego prestiż.

Jak mało prawdziwy autorytet ma wspólnego ze stanowiskiem i wyglądem zewnętrznym świadczy inny przykład. Tym razem fakt pochodzi ze szkoły podstawowej, gdzie „podrywaczem" autorytetu był czwartoklasista, a pedagogiem nie mogącym sobie z nim dać rady kierowniczka szkoły z długoletnią praktyką i specjalnością nauczania w klasach I—IV. Wyjście z sytuacji owa kierowniczka widziała w przeniesieniu ucznia do innej klasy, w której nie nauczała matematyki. Warto zaznaczyć, że wychowawczynią wybranej dla nieznośnego ucznia klasy była młoda, skromna nauczycielka, a „specjalistka" pozostała w przeświadczeniu, że posiada wysoki prestiż.

Widać z tego, że różne są sposoby pojmowania autorytetu, choć autorytet jest jeden. Dlatego też zagadnienia nie należy upraszczać. Ogólny autorytet nauczycielstwa nie może być szyldem dla ludzi pracujących w tym zawodzie, a popełniających błędy. I odwrotnie — ujawnienie błędów jednostek nie może być uważane za krzywdę wyrządzoną wszystkim pedagogom. Zarzut, jakoby dziennikarz pisząc o pedagogicznych błędach, szkodził nauczycielskiemu prestiżowi, wydaje się mało uzasadniony. Nauczyciel śledzący uczennicę (nie piszę szpiegujący, bo to nieładnie) lub nauczycielka pozwalająca się wyrostkom „obściskiwać" na zabawie, sami depczą swój autorytet i dziennikarz nie ma już co podrywać.

Tylu jednak ludzi minęło się z powołaniem i to nie tylko w zawodzie nauczycielskim, że wolno być lekkomyślnie wyrozumiałym wobec „błądzących pedagogów". Gorzej bywa, gdy niezgodność słów z postępowaniem jest maskowana gadulstwem o pięknych ideach, aktywności społecznej itp. Bo to jest już dwulicowość wyższego rzędu.

Warto pamiętać, że rozbieżność między zbyt wysokim postulowaniem ideału a codzienną rzeczywistością spowodowała wiele trudności w pracy wychowawczej. Siłaczka, Judym to nie tylko stare i piękne, lecz mocno zwietrzałe wzory do naśladowania. To również (w pojęciu wielu) postacie frajerów, od których zawsze można wymagać bezinteresownej pracy i przyjęcia odpowiedzialności za cudze winy. Wydaje się, że autorytet nauczyciela nie poniesie żadnej szkody, gdy zrezygnujemy z tego wzoru. Poważna część społeczeństwa już dawno odwróciła się tyłem do Siłaczki, przyjmując merkantylną postawę wobec wszystkiego i wszystkich. Dzieci takich rodziców nie wierzą w świeckich świętych, a jeśli uwierzą, to w nich jak w soczewce skupi się sprzeczność obydwu postaw. Siłaczki i współczesnego człowieka. Korzyść żadna, a niebezpieczeństwo kompleksów niewykluczone.

Również trwałość autorytetu, opartego tylko o serce wydaje się wątpliwa. Dziś, jak nigdy, potrzebny jest racjonalizm. Liczne fakty dotyczące stosunku domu do Szkoły świadczą, że istnieje wielkie zapotrzebowanie nie na Siłaczki, lecz nauczycieli-realistów. Nauczyciel-realista lepiej niż Siłaczka poradzi sobie z awanturującymi się rodzicami. Nauczyciel-realista mniej niż Siłaczka narażony jest na zasklepienie się w kręgu tradycyjnych środków wychowawczych. Ponadto wbrew nazwie Siłaczki wydaje się być bardziej niż ona uodporniony na różnego rodzaju rozróbki rodzicielskie i inne. Warto przypomnieć, co pisał na ten temat publicysta „Tygodnika Kulturalnego", Stanisław Kania:

„Leczyć opinię społeczną chorującą na przesądy może tylko człowiek, który znajdzie środki porozumienia z ludźmi dotkniętymi tą chorobą. Samo nazwanie choroby nie wystarczy. Tego zaś nie może dokonać człowiek kierujący się przede wszystkim pobudkami emocjonalnymi. W zawodzie nauczycielskim wszelka jednostronność równa się kalectwu" (Tygodnik Kulturalny 17-IX-1961 r.).

Zwiększająca się liczba konfliktów dom — szkoła, szczególnie w środowiskach wiejskich i małomiasteczkowych, dowodzi, że sytuacja zaognia się. Wielu jeszcze rodziców obarczonych jest „antyszkolną chorobą". Jakże często można spotkać ludzi, którzy za swoje posłannictwo uważają śledzenie każdego kroku nauczyciela w celu fabrykowania donosów i plotek. Jakże często dom jest twierdzą egoizmu i megalomanii.

Tych twierdz nie podbije się sercem. Potrzebny jest mocny racjonalizm i godność realisty. Niestety, wzrost kadr nauczycielskich nie oznacza wcale, że w szkolnictwie pracują przeważnie realiści z pedagogicznym powołaniem. Wprost przeciwnie — jest ich mniej niż tego wymaga sytuacja wychowawcza i sprawa autorytetu szkoły. Czym to jest spowodowane łatwo wytłumaczyć. W każdej fazie dyskusji można znaleźć fragmenty odnoszące się do materialnej pozycji nauczycielstwa. Istnieje jednak jeszcze inna przyczyna. Jest nią niechęć pewnej części administracji szkolnej do nauczycieli stojących wyżej pod względem intelektualnym, szczególnie młodych. Niektórzy zwierzchnicy wolą mieć do czynienia z zaharowaną Siłaczką lub „obojętniakiem" niż wykwalifikowanym nauczycielem zdradzającym tendencje do samodzielnego myślenia. Taki to potrafi nie tylko od rodziców wymagać szacunku, ale jeszcze odważy się krytykować nie zawsze mądre posunięcia administracji. A czymże jest krytyczna uwaga, w pojęciu małych ludzi, jak nie próbą poderwania ich osobistego prestiżu? Nie rozumieją, że niebezpieczeństwo upadku autorytetu, nie tylko ich, ale w ogóle Szkoły, tkwi gdzie indziej. Nie rozumieją bo uważają, że zasada „Słuchać, nie rozumować!" ułatwia pracę. Ale na krótko. I przy takiej zasadzie nie osiągnie się prawdziwego autorytetu.

STANISŁAW STAN-WIŚNIEWSKI

„PARYŻ do nas należy“

(korespondencja własna)

W programach kin paryskich od dłuższego czasu figurują te same pozycje. Jest wciąż „Rok temu w Marienbadzie“, jest „Naga wyspa“ — doskonały film japoński nagrodzony na festiwalu w Moskwie; „Le temps du ghetto“ — ponura prawda o warszawskim getcie, wstrząsający reportaż skonstruowany z autentycznych scen; „Burza nad Meksykiem“ Eisensteina; „Le Cid“ — komercjalny olbrzym z Sophie Loren i Charlton Heston w roli tytułowej i, dopiero od kilku dni: „Paryż do nas należy“ („Paris nous appartient“). Wokół tego filmu krytyka francuska narobiła dużo hałasu. Jedni twierdzą iż jest to renesans „nowej fali“, inni — iż chodzi o „nouveau cinéma“. Nieistotnym jest jednak do jakiej szkoły zaliczymy film Jacques Rivette (mimo iż bliskie pokrewieństwo koncepcyjne z „Rok temu w Marienbadzie“ narzuca się od razu) — faktem jest, iż „Paryż do nas należy“ to zjawisko nowe i dotychczas niespotykane w kinematografii. Rivette, miast budować film z idei, stworzył ideę, która jest filmem.

Brzmi to niezrozumiale... Inaczej: zazwyczaj, wychodząc z kina, gdzie widzieliśmy normalny film, z porządną fabułą, gdzie wszystko „trzyma się kupy“, zaczynamy snuć refleksje i przypuszczenia, Zapytujemy się, czy historia, którą nam opowiedziano, jest prawdziwa lub prawdopodobna. Wyobraźnia nasza uzupełnia pustkę niedopowiedzeń, czasami folgujemy naszej fantazji i wyobrażamy sobie, co by było, gdyby... Otóż w „Paryż do nas należy“ przeskakujemy etap pierwszy — oszczędzamy dwie godziny — wchodzimy od razu w domenę wyobraźni.

W lesie paryskim, w pustym Paryżu banda wykolejeńców i marzycieli, grupa młodych ludzi podejrzewa istnienie wszechpotężnej, międzynarodowej organizacji, kryminalistów pragnących owładnąć światem. Jej to działalnością tłumaczą ponurą rzeczywistość, zło, które ich miażdży. Hipoteza z początku niedorzeczna, nie do przyjęcia, poparta kilkoma analogiami, zbiegami okoliczności, kilkoma dwuznacznymi zdaniami — rośnie do rozmiarów prawdy, opanowuje ekran, bohaterów, nas samych. Na drugim planie inna akcja; też na pół prawdziwa, na pół wyśniona: grupa aktorów przygotowuje przedstawienie „Peryklesa“, mało znanej sztuki Szekspira, sztuki dziwnej, „kosmicznej“, fragmentu „teatru świata“; sceny pozornie bez związku połączone jedynie subtelnym motywem muzycznym. Przedsięwzięcie upadnie, zburzone przez samych realizatorów; nieporządek, kompromis, lenistwo i uparta kontynuacja prób bez nadziei sukcesu. Potrzebne jest im przedstawienie, jakiekolwiek, aby zapełnić pustkę ich świata.

Tyle o treści i formie. Przychodzi kolej na szkolne pytanie: „Co autor chciał powiedzieć...“ Mimo, że film uważany jest za „abstrakcyjny“ — odpowiedzieć na to pytanie nie trudno. W deklaracji podpisanej między innymi przez C. Chabrol i A. Resnais czytamy: „... trzeba być bardzo krótkowzrocznym by nie dostrzec w tym filmie oblicza współczesnego świata.“ We Francji dyktatury, we Francji zagrożonej faszyzmem, we Francji kryzysu idei — jedna może być tylko interpretacja filmu. W filmie dwoje młodych ludzi popełnia samobójstwo — we Francji jest ich siedem tysięcy rocznie; jest jedna tajna organizacja — we Francji jest ich kilkanaście; „Perykles“ nie będzie wystawiony przez grupę niezawodowych aktorów — lecz po ich zręcznym wymanewrowaniu, po usunięciu młodego reżysera, który nie zgadza się na kompromis — wejdzie do programu jednego z teatrów w wykonaniu zawodowców, interpretujących sztukę bezmyślnie i rutyniarsko. I to jest rzeczywistość.

Taka interpretacja może się wydać komuś zbyt prosta, zbyt łatwa. Przytaczam wypowiedź autora filmu: “„Paryż do nas należy“ nie jest filmem abstrakcyjnym lecz figuratywnym — podobnie jak kubizm — wymagającym pewnego wysiłku dla odnalezienia formy rzeczywistej.“ Chyba będzie niepotrzebnym stawianiem kropki nad „i“ aluzja do działalności cenzury we Francji, która zamanifestowała się tak wyraźnie przy kręceniu i prezentacji „Nie zabijaj“ Autant Lary.

„Paryż do nas należy“ wydaje się zjawiskiem dotychczas niespotykanym i zaskakującym; nigdy chyba jeszcze najnowsze osiągnięcia w dziedzinie formy nie były zastosowane do interpretacji zagadnień polityczno-społecznych. Jakże daleko odeszliśmy tu od „Rok temu w Marienbadzie“ — filmu czystej formy. „Paryż do nas należy“ został zrealizowany w roku 1958; na ekrany wszedł dopiero teraz, prawdopodobnie dzięki precedensowi właśnie „Rok temu w Marienbadzie“.

W Paryżu najmodniejszy taniec, to „twist“.

SZCZĘŚLIWIE SIĘ SKOŃCZYŁO?

...Czyżby? Czy aby na pewno szczęśliwie się skończyło? Optymistyczny tytuł filmu wybitnego reżysera hollywoodzkiego, Wiliama Wellmena jest ukoronowaniem potężnej kpiny, która choć nakręcona prawie 20 lat temu, nieomal archiwalna, nic nie straciła na swojej aktualności. Film opatrzono cenzurką „komedii“, lecz jego wymowa sięga daleko poza granice tylko śmiechu.

Jesteśmy zmuszeni do śmiechu, począwszy od karykatur na czołówce, a skończywszy na karykaturalnym happy-endzie ostatniej sceny. Jednak śmiech — tak widza jak reżysera — nosi wszelkie cechy szyderstwa. Kpina Wellmena wygrywana oszczędnie i na serio, ukazuje podszewkę amerykańskiej rzeczywistości: biznesu, obyczaje, ideały. Odsłania kicz, szmirę i wulgarną tandetę hałaśliwie rozreklamowanego amerykańskiego stylu życia. Wypadek, który byłby nie do przyjęcia gdziekolwiek indziej, ten styl żerujący na sensacji, wynosi się do rangi narodowej epopei.

Podejrzaną o zakażenie radem, przez co skazaną na powolne umieranie, prowincjonalną dziewczyną — zainteresował się reporter poczytnej, nowojorskiej gazety. Dla niego rozdmuchanie historii oznacza błyskawiczną karierę, dla gazety — wzrost nakładu, dla dziewczyny wreszcie, której choroba jest omyłką diagnozy lekarskiej — szansę obejrzenia wielkiego świata. Rozpoczyna się działanie skomplikowanego i absurdalnego bluffu, dziewczyna obwożona po publicznych pokazach, manifestacjach, rewiach girlasek, z transparentami i hymnami, staje się narodową męczennicą nr 1, wzorem amerykańskiej kobiety — bohaterki. Naród wyczekuje na jej śmierć z histerycznym wzruszeniem, kamerami i fotoreporterami. Dziewczyna musi umrzeć, aby potentaci prasowi nie ponieśli bankructwa finansowego, naród — moralnego. Kulminacją bluffu jest fałszywy pogrzeb — czyli wszystko skończyło się szczęśliwie.

Jeżeli teraz skojarzymy sobie historię Wellmena z najbliższą czasowo sensacyjną aferą telewizyjną w Stanach, a dodamy jeszcze spostrzeżenie, że gdyby nie data produkcji, identyfikacja wieku filmu sprawiłaby poważny kłopot, to ostatecznie zakonkludujemy — rzeczywiście istnieją filmy, które nie starzeją się ani artystycznie, ani tematycznie. Właśnie takie, jak Wellmena „Szczęśliwie się skończyło“.

EWA OSTROWSKA

Marina Vlady i J. P. Mariellc.

RZECZY CIEKAWE

⊙ Audrey Hepburn w roli kociaka! To brzmi sensacyjnie, ale nieprawdopodobnie. A jednak! W nowym amerykańskim filmie „Śniadanie u Tippany“ Audrey gra rolę tzw play-girl czyli po naszemu mówiąc takiego rasowego kociaka. Ale właściwa aktorce natura romantycznej heroiny zwycięża. Zamiast luksusowego życia u boku miliardera wybiera miłość do początkującego pisarza. Film zrealizowany został wg opowiadania Trumana Capote. W roli Paula interesujący młody aktor George Peppard.

⊙ Znany dokumentarzysta francuski Yanick Andrei zadebiutował jako reżyser interesującego i bardzo „młodzieżowego filmu „W sobotę wieczór“. Film zrealizowany został na ulicach Paryża z udziałem grupy młodych, niezawodowych aktorów.

Yanick Andrei chciał stworzyć film będący repliką na „Oszustów“ Carne. Chciał ukazać młodzież pełną radości, entuzjazmu, wiary w życie i miłość. Tacy są właśnie bohaterowie „W sobotę wieczór“ — prości i bezpośredni, pozbawieni pozy i sztuczności.

„TARPANY"

Reż. K. Kutz ukończył całkowicie pracę nad realizacją swego najnowszego filmu — „Tarpany". Film ten zapowiada się nader ciekawie, obsadę jego stanowią: E. Krasnodębska, A. Szalawski, T. Tuszyńska oraz Jerzy Jogałła — rokujący wielkie nadzieje na przyszłość jako amant.

Prawdziwą jednak niespodzianką, będzie duet aktorski I. Orzeckiej w roli teściowej, jak również K. Rommla (znany leader sportu konnego — zamieszkujący stale na Wybrzeżu), występującego w roli masztalerza Zycha.

Film „Tarpany" pokazuje wycinek z codziennego życia. Bohaterami jego są mąż i żona, na pozór żyjący w harmonijnej zgodzie — a jednak będący sobie zupełnie obcy. Film „Tarpany" został nakręcony systemem panoramicznym, przy tym trzy czwarte akcji rozgrywa się w malowniczym plenerze nakręconym w okolicach Mikołajek na Mazurach oraz w lasach koło Środy na Dolnym Śląsku. Scenariusz napisali kolektywnie: M. Brandys, S. Kowalewski i reż. K. Kutz. Zdjęć dokonali dwaj młodzi operatorzy — W. Zdort i St. Śliskowski.

ZETMAN

Pod adresem PWAiF

KIEDY SIĘ DOCZEKAMY

Mamy w Polsce uczelnię filmową, która cieszy się opinią jednej z najlepszych w świecie. Mamy tzw. polską szkołę filmową czyli kilku wybitnych twórców, którzy mają coś do powiedzenia i przysparzają nam laurów na różnego rodzaju festiwalach. Istnieje uniwersytecki Zakład Filmologii, Zakład Teorii i Historii Filmu przy Instytucie Sztuki PAN itd. Są więc wszelkie dane po temu, aby mógł się u nas rozwijać ożywiony ruch kulturalny i wydawniczy w dziedzinie filmu. Niestety dane wprawdzie są, ale wspomnianego ruchu jak nie było tak nie ma. Pomimo dającego się niewątpliwie odczuć tzw. zapotrzebowania społecznego.

W krajach o rozwiniętej kulturze filmowej — we Włoszech, Francji, ZSRR, Anglii, Ameryce i inn. ukazują się rokrocznie setki wydawnictw filmowych. Rozprawy teoretyczne i historyczne, podręczniki, monografie znakomitych realizatorów i aktorów, encyklopedie i leksykony, wyczerpujące opracowania problemowe rozmaitych wycinków ogromnego tematu jakim jest kinematografia. Istnieją już przecież nawet klasycy literatury filmowej. Wydania tych klasyków mamy na szczęście poza sobą. Ukazały się bowiem u nas wybory pism Bolazsa, Pudowkina, Eisensteina i znakomite dzieło Arnheima. Niestety, poziom redakcyjnego i edytorskiego opracowania tych książek pozostawia wiele do życzenia. Zastrzeżenia budzi również (podkreślano to zresztą w recenzjach) dobór i układ wyborów pism zwłaszcza w wypadku Bolazsa i Pudowkina. Poważne wydawnictwa teoretyczne muszą mieć charakter prawdziwie naukowy. Warto by wziąć przykład chociażby z doskonałych pod względem redakcyjnego opracowania książek włoskich. Przejrzysty układ materiału, dokładne oznaczanie źródeł i dat, inteligentny i precyzyjny system indeksów i przypisów ogromnie zwiększają użyteczność książki i ułatwia ją szybkie zorientowanie się w tekście.

Ale czterej „wielcy" klasycy to jeszcze mało. Prawda, dodajmy do tego interesującą książkę Reisza o montażu, mniej interesujący „Film" Manwella, cennego Kracauera, Claira, parę przekładów Sadoula i jeszcze kilka czy kilkanaście pozycji. I koniec. A to bardzo niewiele. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę potrzeby studentów szkoły filmowej, młodych adeptów filmologii, nie mówiąc już o jakiejś bazie dla pracowników naukowych. Wprawdzie parę przekładów wydała w postaci skryptów PWSTiF ale wiadomo, że Szkoła nie prowadzi już obecnie działalności wydawniczej. Zresztą skrypty mają ograniczony zasięg oddziaływania. A ostatecznie zwykłym śmiertelnikom zdradzającym pewne zainteresowania dla filmu też się coś należy.

Tyle wartościowych pozycji pojawia się nieustannie na zagranicznych półkach księgarskich, pozycji zasługujących niewątpliwie na udostępnienie polskiemu czytelnikowi. Wystarczy wspomnieć o tak już bogatym dorobku filmologii, o pracach Cohen-Seata, o ciekawych rozważaniach z dziedziny socjologii i psychologii filmu. Nie bardzo rozumiem jakimi kryteriami kierują się Państwowe Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe w swojej polityce przekładowej i dlaczego pierwszeństwo oddaje się mimo wszystko pozycjom drugorzędnym, podczas gdy cały szereg podstawowych dla dzisiejszego kierunku wiedzy o filmie książek daremnie wyczekuje swojej „kolejki". Na dobrą sprawę, od momentu zlikwidowania „Filmu na świecie", najlepszego czasopisma filmowego w Polsce, które znakomicie spełniało funkcję wysokiej klasy Digestu, zostaliśmy praktycznie odcięci od świata, od dyskusji i sporów toczonych przez teoretyków, krytyków i twórców, od najnowszych osiągnięć filmowej eseistyki. Od czasu do czasu echa tego co się „dzieje" na szerokim świecie docierają do nas w postaci mocno rozwodnionej na łamach naszej prasy filmowej lub też w „rewelacyjnych" wystąpieniach krajowych znakomitości od filmu. W ten sposób sprawy filmu stają się po trochu domeną wtajemniczonych, własnością „elity", która zna języki obce i ma dostęp do wszystkich zagranicznych nowości. To zaś z kolei sprzyja pseudointelektualnemu hochsztaplerstwu na tym polu.

Sytuacja w dziedzinie przekładów jest tym bardziej alarmująca jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że i nasz rodzinny dorobek wydawniczy jest bardzo ubożuchny.

Na palcach policzyć można na pozycje istotnie cenne o charakterze naukowym (pomijam tu znów prace zawarte w skryptach PWSTiF. Na dobrą sprawę mówić można o „Historii sztuki filmowej" Toeplitza, o przestarzałych już i wymagających gruntownej rewizji „zagadnieniach estetyki filmowej" i wydanym niedawno, dyskusyjnym acz ambitnym w zamierzeniach „Języku filmowym" Płażewskiego. Reszta jest milczeniem. Parę interesujących, dobrze napisanych tomików krytyk (Jackiewicz, Kałużyński, KTT) parę wartościowych choć nie zawsze całkowicie oryginalnych pozycji eseistycznych (Michałek), wybór publicystyki Toeplitza, trochę książek napoły publicystycznych, napoły popularno-naukowych, parę przyczynków, parę wspomnień i remanentów, coś o Jamesie Deanie i nieaktualnym już małżeństwie Olivierów. I to już prawie wszystko (przynajmniej w grubszych zarysach).

Jak na tyle instytucji i osób parających się sprawami filmu, to jednak nieco mało. Kiedyż nareszcie doczekamy się jakiegoś leksykonu lub też małej encyklopedii wprowadzającej jaki taki porządek w używanej powszechnie terminologii filmowej, definiującej pewne podstawowe pojęcia i zawierającej garść rzeczowych informacji z tej dziedziny? Kiedyż nareszcie doczekamy się?... tu mały znak zapytania pod adresem tych wszystkich od których można czegoś oczekiwać. Ostatecznie nie samym Irzykowskim człek na Polszcze żyje.

A ponieważ jak widać bania z poezją nie rozbiła się jeszcze nad głowami naszych naukowców i krytyków (czy też może chowają oni w zanadrzu swój cenny dorobek), to skracając sobie czas oczekiwania na ów niechybny przypływ natchnienia, sięgnijmy jednak po to co napisano gdzieindziej.

MARIA KORNATOWSKA

Alida Valli w filmie „Tak długa nieobecność"

MIESZANKA FILMOWA

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

V FFF - rozpoczęty

Skromnie, aczkolwiek z fanfarami z taśmy magnetofonowej rozpoczynają się co wieczór od 12 aż do 27 stycznia pokazy filmów V Festiwalu Festiwali Filmowych w warszawskim kinie „Skarpa". O inaugurującym V FFF „Czystym niebie" („Grand Prix" Moskwa 1961) pisaliśmy w poprzednim numerze „Mieszanki". Dodać tylko należy, że otwarcie Festiwalu uświetnili swą obecnością — urocza Nina Drobyszewa i reż. Czuchraj.

Laureat „Srebrnej Palmy" z Cannes — film reż. J. Kawalerowicza „Matka Joanna od Aniołów' był pierwszym z polskich filmów (trzech), które są wyświetlane w ramach V FFF. I tu nie ma chyba potrzeby powtarzać wszystkich pochwał, jakie przypadły za ten film reż. Kawalerowiczowi oraz Lucynie Winnickiej, Annie Ciepielewskiej i Mieczysławowi Voitowi.

Pierwszym więc filmem, nie znanym polskiej publiczności stał się debiut reżyserski Henri Contiego „Tak długa nieobecność" produkcji francusko-włoskiej. Ten dramat psychologiczny, którego scenariusz pisała m. in. Marguette Duras („Hiroszima, moja miłość") nie jest jednak dziełem, zasługującym aż na taki laur jak „Złota Palma" Festiwalu w Cannes. W tym filmie nie ma właściwie konfliktu, nie ma dramatu bohaterki, która we włóczędze pozbawionym pamięci dopatruje się zaginionego podczas wojny męża. Akcja filmu toczy się w powolnym tempie. Obserwacje psychologiczne bohaterów zaczynają nużyć i spierać by się można czy wiele niedomówień, z którymi w tym filmie twórcy dość często zostawiają widzów; czy owe niedomówienia nie pogłębiają słabości konstrukcji dramaturgicznej filmu, zawierającego i tak chyba zbyt wiele akcentów melodramatycznych. „Tak długa nieobecność" zaskakuje jednak czym innym — wiarą jego twórców w potęgę uczucia, w potęgę miłości. Czyżby wracała ona także w kręgi jakże często cynicznej „nowej fali"? Ładnym akcentem muzycznym filmu Contiego jest niewątpliwie piosenka, której wróżyć można wielka popularność. Wielbiciele niegdyś pięknej Alidy Valli będą chyba rozczarowani zmarszczkami popularnej gwiazdy, która ma jednak w tym filmie wiele świetnych aktorsko scen. W sumie chyba jednak wynosi się uczucie rozczarowania niż... oczarowania „Tak długa nieobecnością".

Jak do tej pory gwóźdź całego Festiwalu stanowi dzieło Luisa Bunuela „Viridiana", z zaciekłością niszczone przez frankistowski rząd Hiszpanii, gdzie film ten został zrealizowany. Współtwórca słynnego przed wojną „Psa andaluzyjskiego" powojennych „Los Olvidados" oraz „Nazarina" i komercjalnej „Jutrzenki" lub „Gorączki w El Pao", wypowiada się w swoim najnowszym filmie z olbrzymią pasją. Zadziwia „Viridiana" idealna wprost precyzją z jaką Bunuel polemizuje z fanatyzmem i dewotyzmem religijnym, z postawą oderwania od życia doprowadzającą do klęski dziewczynę wychowaną w atmosferze egzaltacji i izolacji od normalnych ludzi. Historia młodej Viridiany, która opuszcza z polecenia władz zakonnych klasztor by wypełnić życzenie wuja, psychopaty, popełniającego w efekcie tej wizyty samobójstwo na skutek wyrzutów sumienia za próbę popełnienia gwałtu, jest dramatyczna i wzruszająca. Dziewczyna pomimo splotu tragicznych wypadków próbuje sama iść dalej drogą, którą jej wskazywano w klasztorze — czynić dobre uczynki. Oto przygarnięci przez nią żebracy odzyskując możliwość ludzkiego życia w szale zabawy a potem orgii i gwałtu zadają cios własnej opiekunce. Viridiana musi skapitulować, w tej klęsce jest także porażka jej fanatycznej postawy; postawy narzuconej, nie liczącej się ze zjawiskami społecznymi, z codziennymi ludzkimi sprawami.

Sekwencja orgii żebraków na tle muzycznym oratorium Alleluja jest punktem kulminacyjnym filmu. Widać tu w pełni styl Bunuela jakże często ukazującego sprawy ludzkie w sposób okrutny i brutalny. Niektóre z tych scen w swej atmosferze przypominają słynne dzieła malarstwa Goyi ze słynnych cyklów „Kaprysy" i „Walki byków". Aktorstwo tego filmu zaskakuje swoją świetnością. Tytułową rolę gra młoda, o oryginalnej urodzie Silvia Pinal.

W takim zestawieniu następny film V FFF „Matka i córka" („La Ciociara") — Vittorio de Sici, wydaje się być mało ciekawą historyjką obyczajową, w której czołowy twórca włoski ukazał, co prawda swój znakomity warsztat reżyserski, ale nie przekazał w swoim dziele tyle treści i tyle pasji, co Bunuel w „Viridianie". Toteż nagroda specjalna jury Festiwalu w Cannes jest chyba tylko gestem kurtuazji pod adresem de Sici. Za to na pewno nagrodzenie Sophi Loren za jej kreację w roli matki jest jak najbardziej słuszne. Ta popularna aktorka znana do tej pory u nas jako przede wszystkim piękna, ładnie zbudowana kobieta niż jako dobra aktorka udowadnia w tym filmie i jedno i drugie. Miłośnicy Loren wychodzą z kina na pewno wielce usatysfakcjonowani.

O dalszych pozycjach V FFF doniesiemy naszym czytelnikom w następnym numerze „Mieszanki".

Scena z filmu Bunuela „Viridiana".

JAKI BĘDZIE ŁÓDZKI PARK WYPOCZYNKU?

Kabiny „Pająka".

Dalszy ciąg ze str. 1

krajobraz z obfitością zieleni, a ukryte wśród drzew będą na nas czekać najróżniejsze atrakcje. Lot helikopterem był właśnie pierwszą z nich, należał do programu.

Dokonujemy prozaicznej czynności kupna biletu i przekraczamy furtkę krainy wypoczynku i rozrywki, łódzkiego „disneylendu". Co mamy do wyboru?

Przy strzelnicach, przed gabinetem „krzywych luster", pod karuzelą — nie warto się chyba zatrzymywać. To nic nowego. Lecz oto dostrzegamy coś, czego jeszcze nie znamy, a co sylwetką przypomina „atomium" z wystawy światowej w Brukseli. Zwie się to „pająkiem". Wysoki słup, od niego gwiaździście rozchodzą się poziome ramiona, na końcu każdego — gondola. Niby karuzela, a jednak... każda gondola biegnie po obwodzie, wiruje wokół własnej osi, jednocześnie wraz z ramieniem „kiwa się" w górę i w dół.

Zapewne zresztą szybko machniemy ręką na pająka, bo czekają nas większe atrakcje. Dostrzegamy oto wysoką na 45 metrów wieżę, z której wierzchołka zwieszają się liny. U końca każdej — samolot. Wsiadamy, wieża wolno zaczyna się obracać, a my — jak nakazuje zasada siły odśrodkowej, wznosimy się do góry. Zawieszeni na linie 35 metrowej długości osiągamy szybkość 70 kilometrów na godzinę...

Zdaje się, że po porcji wrażeń z pająka i samolotu mamy dość wirowania, spacerkiem udajemy się więc w kierunku biegnącego pętlami i spiralami toru asfaltowego. Właśnie skończyły się wyścigi maluchów na miniaturowych, choć najprawdziwszych samochodzikach a ich miejsce zajmują dorośli, którzy „dosiadają" go-kartów. Sygnał startu, ryk silników i już zwinne „go-karty" mkną po serpentynach, wyprzedzają się na wirażach. Z każdego miejsca możemy obserwować cały tor 500-metrowej długości. Jedno okrążenie, drugie, trzecie...

Od dopingowania naszego faworyta zaschło nam w gardle. I na to jest lekarstwo w postaci kawiarenki, ukrytej na uboczu w gęstwinie. Ale na dłuższe przesiadywanie przy stoliku nie ma czasu, czeka nas jeszcze tyle wrażeń.

ZNOWU DO GÓRY

Ponownie wznosimy się pod niebo, tym razem nie w helikopterze, lecz w gondoli balonu. Majestatycznie, powoli, z lekkim niepokojem, czy czasem lina łącząca nas z ziemią „nie puści" i nie ulecimy w przestrzeń. Ale, ale, jeszcze nie czas przecież na podróż kosmiczną.

Znów jesteśmy na ziemi. Po podniebnej wycieczce wypadałoby zażyć trochę ruchu. Dosiadamy więc rowerów, ale rowerów niezwykłych. Kręcimy z wysiłkiem pedałami, jednak nasz rower stoi w miejscu. Za to siła naszych mięśni porusza miniaturową figurkę kolarza na „torze" długości zaledwie 4 metrów. Jest nas pięciu konkurentów, kto pierwszy doprowadzi swoją figurkę do mety?

Póki jeszcze zmrok nie zapadł, musimy zwiedzić dokładnie cały teren parku, tyle tu przecież atrakcji. Wszystkich wymyślnych urządzeń wypróbować nie zdążymy, można je wszakże chociaż obejrzeć. A można bardzo łatwo, dzięki kursującej po całym obszarze małej kolejce. Wszystko, jak przy „normalnym" pociągu — dworzec, kasa, bilet, gwizd parowozu i odjazd...

PODRÓŻ PRAWIE KOSMICZNA

Na koniec zarezerwowaliśmy sobie największą atrakcję — lot kosmiczny, bez mała, na skalę Gagarina i Titowa. Po schodkach dostajemy się do wycelowanej w niebo, srebrzystej rakiety. Zapadamy w fotele, zapinamy pasy. Za chwilę odgłosy wybuchów: start. Przez wizjer w podłodze widok malejącego stopniowo parku, potem całej Łodzi z lotu ptaka, potem już tylko zawieszona w przestrzeni kula ziemska (oczywiście, oglądamy film)...

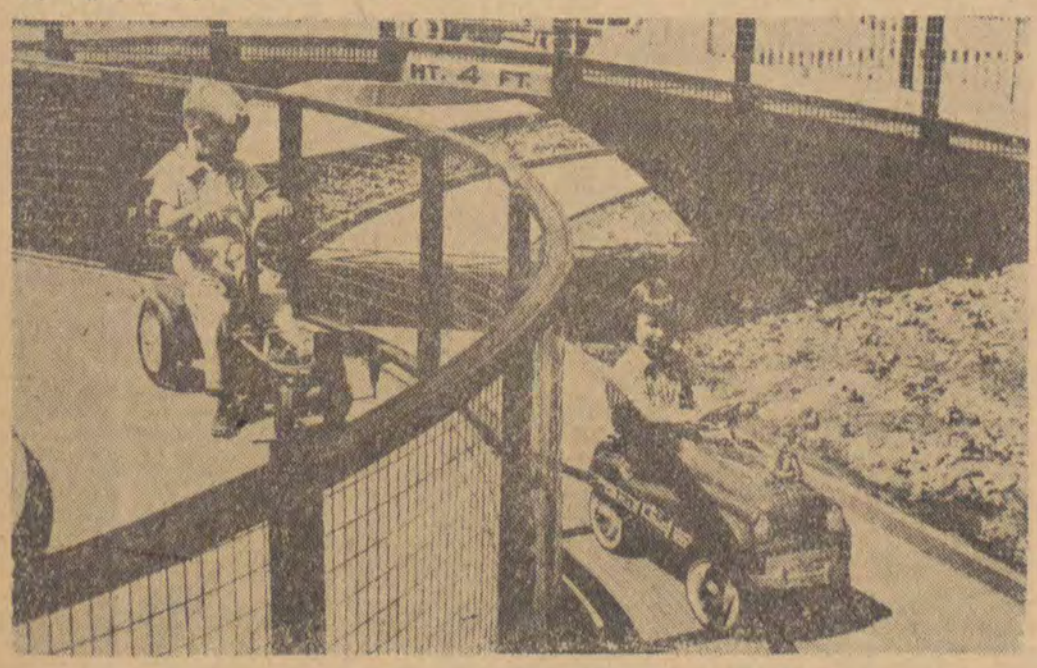

Od najmłodszych lat z samochodem „za pan brat".

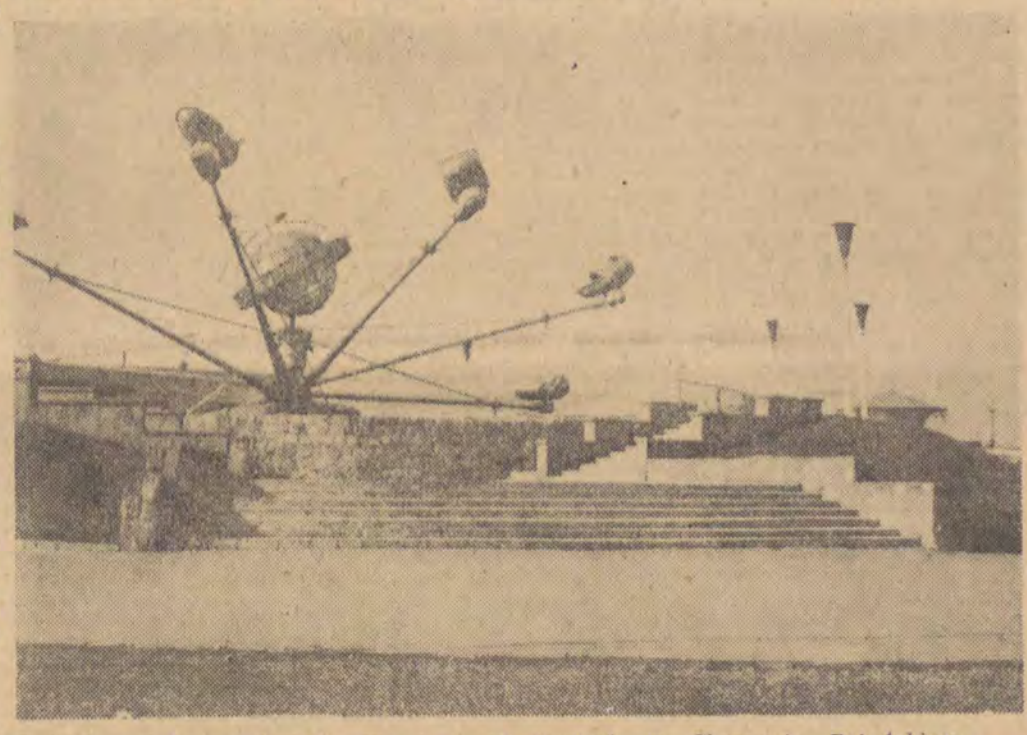

„Pająk" — jedna z atrakcji „Wesołego Miasteczka" w Chorzowie. Coś takiego ma powstać w Łodzi.

Wszystko tak, jak wiernie swego czasu przekazał Wańkowicz we wrażeniach z wizyty w „disneylendzie".

Gdy „wracamy na ziemię", jest już wieczór. Alejki parku, skąpane w kolorowym świetle reflektorów, wyglądają, jakby z krainy fantazji. Na tarasie kawiarni przygrywa muzyka. Ze staroświeckich dział, którym dziwiliśmy się przy wejściu do parku, strzelają w niebo fontanny sztucznych ogni. Aż szkoda stąd wychodzić, wracać do „normalnego" życia...

FANTAZJA I RZECZYWISTOŚĆ

Czytelnik może nam zaufać, że w opisie naszych wrażeń z przyszłości nie ma nic nierealnego. Całą „podróż" odbyliśmy, studiując „Założenia projektowe na budowę Parku Rozrywkowego przy ul. Konstytucyjnej i ul. Nowotki w Łodzi". Założenia opracował inż. Henryk Tomaszewski z Biura Projektów Budownictwo Komunalnego, a inżynierowie, jak wiemy, nie lubią fantazjować.

Założenia zostały już przedyskutowane, skorygowane i zatwierdzone. Na terenie wielkości 40 hektarów ograniczonym od północy ul. Nowotki, od południa — torami kolejowymi, od wschodu — ul. Niciarnianą i od zachodu ul. Konstytucyjną (prostopadła do ul. Narutowicza za radziostacją) już w bieżącym roku rozpoczynają się roboty ziemne. Otwarcie parku wraz ze wszystkimi urządzeniami ma nastąpić w ciągu 4—5 lat.

Oblicza się, że w ciągu jednego dnia będzie mogło przewinąć się przez park około 45 tysięcy osób, a z samych urządzeń rozrywkowych skorzysta 25 tysięcy. W naszej „podróży" poświęciliśmy uwagę tylko najbardziej atrakcyjnym urządzeniom rozrywkowym. W ogóle będzie ich znacznie więcej. Samych karuzel różnego rodzaju planuje się aż sześć, w wydaniu dla dorosłych i dla dzieci. Huśtawki, siłomierze, bilardy automatyczne, pawilon samochodzików elektrycznych, strzelnice i inne przyrządy — uzupełnią wyposażenie parku.

Całość będzie pięknie oprawiona zielenią, która odizoluje urządzenia „hałaśliwie", zieleń, główny element zdobiący park, stworzy właściwe warunki odpoczynku.

Po raz pierwszy miasto nasze otrzyma taki „kombinat rekreacyjny", który zapewni wypoczynek i rozrywkę rzeczywiście wszystkim mieszkańcom Łodzi, którzy tego pragną.

Czy zaspokoi on nasze potrzeby w tym zakresie?

GŁOS MŁODEGO POKOLENIA

Redaktorzy programu młodzieżowego telewizji wpadli ostatnio na pomysł: dorośli projektują park po swojemu, wedle możliwości finansowych i wedle własnych pojęć na temat odpoczynku, my zaś poprosimy o zaprojektowanie parku grupę licealistów, oczywiście nie narzucając im żadnych ograniczeń, „umawiając się że każdy z ich projektów jest możliwy do realizacji. Niech puszczą wodze fantazji.

W ten sposób powstała audycja „Egzamin z wyobraźni", którą niedawno oglądaliśmy na ekranie TV.

Młodzi ludzie „zaczęli" swoje projekty mniej więcej od tego miejsca, w którym „skończyli" dorośli. Rakieta międzyplanetarna, która opisaliśmy przy okazji naszej „podróży" po parku, była najprostszym bodaj z zaprojektowanych przez nich urządzeń. W kolejności następowały kina z trójwymiarową projekcją, obrotowe mosty, podróże powietrzne z wykorzystaniem energii fal elektromagnetycznych, niewidzialne zapory przeciw halasowi, itp. dziwy z odległej jeszcze przyszłości, dziś ani jutro absolutnie niemożliwe do zrealizowania.

Pozornie nie ma żadnej „płaszczyzny porównywania" mrzonek licealistów i konkretnych projektów sporządzonych przez inżynierów. A jednak...

Pewne porównania bez wątpienia są możliwe i dostarczają okazji do ciekawych uwag.

Oto młodzież w swoich projektach wykazała się dużym zainteresowaniem współczesną techniką. Można sądzić, że zainteresowanie tymi sprawami staje się dziś udziałem większości społeczeństwa. Dlaczego by zatem nie zaprojektować w przyszłym parku pawilonu techniki?

Co, naszym zdaniem powinno się znaleźć w takim pawilonie? Przede wszystkim modele — miniaturowa elektrownia, siłownia okrętowa, silnik spalinowy itp. Wszystkie modele oczywiście „ruchome", pokazujące zasady działania urządzeń. Poza tym: studio telewizyjne, złożone chociażby z jednej kamery i jednego odbiornika, gdzie każdy „za drobną opłatą" mógłby obejrzeć siebie na ekranie. Na pewno również studio nagrań dźwiękowych. Urządzenie takiego pawilonu nie kosztowałoby wiele, modele mogliby wykonać np. uczniowie technikum. Nie chcemy wdawać się w szczegółowe rozważania, zmierzamy do wniosku natury bardziej ogólnej.

Otóż, jak można przypuszczać, współczesnemu człowiekowi nie wystarcza wyłącznie „pusta" fizyczna rozrywka. Swój krótki czas wytchnienia po pracy chce on poświęcać także poszerzeniu wiedzy o skomplikowanym świecie, w którym żyje. Dlaczego mamy mu nie wyjść na przeciw?

Wracając jeszcze do projektów z audycji: dużo miejsca w planach licealistów zajęły rozrywki intelektualne. Pod szklanymi kopułami pomieścili oni czytelnię, sale tzw. „cichych gier" itp.

Wystarczy „zdjąć" szklane kopuły, by rzecz nabrała kształtów realnych. Park wypoczynku i rozrywki powinien chyba dysponować czytelniami czasopism, wypożyczalniami gier, powinien chyba mieć także kino letnie, gdzie wyświetlałoby się chociażby filmy krótkometrażowe.

Zważmy, że do parku będą się wybierały całe rodziny, nierzadko złożone z trzech pokoleń. Dzieci pójdą na huśtawkę, rodzice na „samoloty", a co ma robić dziadziuś z babcią? Może chcieliby zagrać w warcaby? A tu jak na złość, w 45 milionach na budowę, 8 złotych na komplet warcabów nie przewidziano.

O ROZRYWKĘ WSZECHSTRONNĄ

Jeżeli już projektujemy Park Rozrywki i Wypoczynku, nie zaś zwyczajne „wesołe miasteczko", to zadbajmy wobec tego o rozrywkę wszechstronną. Obok siłomierzy, wydzwaniających najmocniejsze uderzenie pięścią, zainstalujmy „umysłomierze", gdzie zwycięża np. ten, kto najszybciej skojarzy nazwę stolicy kraju z nazwą danego państwa.

Wyodrębniliśmy tu trzy typy rozrywki: fizyczną, kształcącą i umysłową. Nomenklatura może nie jest najwłaściwsza, ale wiadomo, o co chodzi. By zapewnić „równowagę" tych trzech typów rozrywki, potrzeba doprawdy nieznacznych korekt w sporządzonych założeniach projektowych. Może warto podjąć ten niewielki wysiłek? Inaczej dopracujemy się efektownego na pewno, ale tylko lunaparku, co dziś nie jest już chyba rozwiązaniem najwłaściwszym.

GDZIE JEST WODA?

Oto nasza ostatnia uwaga: nie ma wody! Nie zaprojektowano basenu kąpielowego (zimą — ślizgawka). A park otrzyma przecież sieć wodociągową i kanalizacyjną. Nie zapalanowano, z uwagi na koszty i łódzką politykę oszczędnościową zużycia wody.

Przypuszczamy, że można by zrezygnować z jednej z kilku karuzel, a także z kompleksu oszczędności (bo taki basen, to i tak tylko kropla w morzu potrzeb), wykop wykonać czynem społecznym i w efekcie wzbogacić park o jeszcze jedną rozrywkę, której łodzianie tak są spragnieni.

A jeżeli nie basen — można wysunąć kontrargument uniknięcia „wszystkoizmu" — to na pewno chociaż sadzawka na podobieństwo tej w parku Staszica. Zapewniłaby podwojenie przynajmniej efektów widokowych parku i tzw. warunki mikroklimatyczne.

Na marginesie tych uwag wniosek końcowy: czy nie warto przypadkiem dyskusji na temat wyposażenia i funkcji przyszłego parku rozszerzyć poza krąg projektantów — specjalistów? Bynajmniej tą propozycją nie czynimy projektantom zarzutu niekompetencji, chodzi tylko o to, by sprawdzić, czy ich zamierzenia są zgodne z potrzebami społeczeństwa, czy odpowiadają pragnieniom mieszkańców Łodzi.

W. B.

Adam Połłowski

75 LAT Łódzkiej Sali Koncertowej

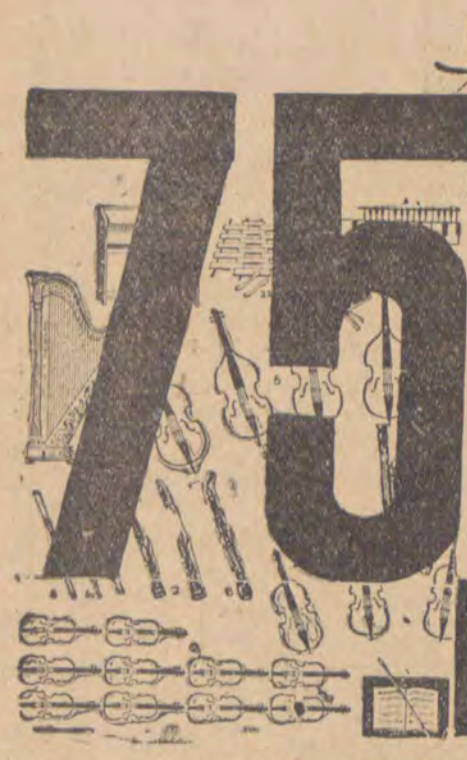

Nowy plac przy łódzkim wieżowcu dał nam możność popatrzenia z pewnej odległości na fasadę budynku, w którym mieści się jedyna sala koncertowa Łodzi. Fasada, odrapana i brzydka, wciśnięta między domy, niegodna jest przybytku Polihymnii która tu zadomowiła się w walącej się sali, a razem z nią około stu wytrawnych muzyków, odtwórców arcydzieł muzycznych.

Ta sala naszej Łódzkiej Filharmonii podobno już nie bardzo nadaje się nawet do kapitalnego remontu. Nic dziwnego, bo już nieraz ją remontowano, a że słabo była budowana, więc staruszkę lata przygniatają. Oto bowiem **27 stycznia 1962 r. obchodzimy 75-letnią rocznicę otwarcia** tej sali koncertowej, zwanej dawniej salą Vogla, lub „Łódzkim Domem Koncertowym".

Z dalekiej perspektywy warto przypomnieć użyteczność i rolę — nieraz świetną — jaką ta sala spełniała niegdyś w życiu kulturalnym miasta.

Łódź w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia to już nie małe osiedle, którego 190 mieszkańców (z r. 1793) można by dziś umieścić w niewielkiej sali kameralnej Teatru Nowego, lecz potężny i ludny polski Manchester. Miasto nie tylko produkowało i wzrastało pod względem liczby ludności. **W miarę rozwoju przemysłu rosło także zapotrzebowanie na rozrywki kulturalne.**

Toteż Łódź miała już w tym czasie swoje stałe miejsca (Paradyz, Arkadia, Victoria, Thalia), w których grano nietylko sztuki teatralne, lecz także i operetki, opery i dawano koncerty. Miasto nie zadowalało się już małą 8—12 osobową orkiestrą, zwaną **„Towarzystwem Muzykalnym"** z lat czterdziestych zeszłego stulecia, lecz w latach siedemdziesiątych dotowało symfoniczną **„Orkiestrę Miejską"**, a po jej rozwiązaniu korzystało z dwóch (ok. 15 osobowych) orkiestr teatralnych (teatru polskiego i niemieckiego), miało szereg orkiestr amatorskich (np. Scheiblerowską i S. Krzyszkowskiego) i ok. 50 osobową orkiestrę wojskową 37 p. p., które często koncertowały w różnych salach, parkach i ogrodach. Odwiedzali Łódź także coraz częściej wybitni artyści i wirtuozi o sławie europejskiej. Toteż dotkliwie odczuwano brak sali koncertowej.

Potrzebie tej uczynił zadość **Ignacy Vogel,** budując przy ul. Dzielnej 18 (obecnie Narutowicza 20) — jak czytamy w „Dzienniku Łódzkim" — „koncertny dom, w którym mieści się wspaniała sala balowa i koncertowa". Dnia 11 stycznia 1887 r. odbył się odbiór tego nowego domu koncertowego przez komisję budowlaną, a w dwa dni później planowano otworzyć wielkim koncertem na cel dobroczynny salę koncertową. Wielki koncert inauguracyjny odbył się jednak dopiero 27 stycznia 1887 r.

W koncercie tym wzięli udział: zasłużona dla polskiej opery w Łodzi śpiewaczka operowa i nauczycielka śpiewu Julia Leichnicówna, miejscowe niemieckie stowarzyszenie śpiewackie pod dyrekcją chórmistrza Antoniego Wirtha i łódzka orkiestra wojskowa 37 p. p., pod dyrekcją jej długoletniego i zasłużonego dla łódzkich orkiestr amatorskich kapelmistrza Edwarda Dietricha. Program tego koncertu był dość monotonny i niezmiernie długi, bo zawierał aż 24 numery. Niemały dochód z tej pierwszej imprezy ofiarowano w równych częściach łódzkiemu Towarzystwu Dobroczynności i łódzkiej Ochotniczej Straży Ogniowej.

Aczkolwiek właścicielem Łódzkiego Domu Koncertowego był Ignacy Vogel, to jednak użytkownikiem tak sali na parterze, gdzie było Variété, jak też sali koncertowej na pierwszym piętrze był każdorazowy dzierżawca, który sale te urządzał i odnawiał. Tak np. w roku 1901 r. nowy dzierżawca Adolf Inis i Sp. polecił braciom Tarkowskim (murarzom) salę koncertową gruntownie odnowić i polskiemu księdzu poświęcić, aby ją tym korzystniej wynajmować na bale, zabawy, wesela i koncerty.

Już w pierwszych latach istnienia tej sali koncertowało na jej estradzie wielu wybitnych wirtuozów, nieraz o wszechświatowej sławie, zwłaszcza pianistów i skrzypków.

Oto niedługo po otwarciu Łódzkiego Domu Koncertowego wystąpił w nim z koncertem **Aleksander Michałowski,** który był przez długie lata najświetniejszym interpretatorem dzieł Chopina. Od 1888 r. koncertowała tu także pianistka o sławie europejskiej, uczennica Antoniego Rubinsteina i profesor petersburskiego konserwatorium, łodzianka **Maria Wąsowska-Badowska.** Od 1890 r. bywał tu kilkakrotnie z koncertami jeden z najwybitniejszych w świecie ówczesnym pianistów **Józef Śliwiński,** który 3.II. 1907 r. w Warszawie, a w dwa dni później w Łodzi obchodził 25-lecie swego pierwszego koncertu, pozostając tu przeszło dwa tygodnie, by łodzianom dać drugi koncert. Występował tu też (1895 i 6) światowej sławy polski pianista, uczeń Antoniego Rubinsteina, **Józef Hofman.** Ten zaledwie 20-letni pianista zachwycił wtedy Łódź brawurową grą. Sonaty Es-dur op. 31 Beethovena i VI Rapsodii Liszta. Koncertował tu także przy szczelnie nabitej sali **Ignacy Paderewski** (1899, 1904, 1913), **Henryk Melcer** (1899), słynny wiedeńczyk **Alfred Grünfeld** (1901 i 1904), jedna z najsławniejszych ówczesnych pianistek **Maria Avani-Carreras** (1908, 1911) i tu także rozpoczął swoją wielką karierę pianistyczną łodzianin **Artur Rubinstein.** Łódzki krytyk muzyczny wyznaje już po koncercie jego, danym w dniu 5.III.1904 r., że wobec gry 16-letniego Artura Rubinsteina musi wszelka krytyka zamilknąć, bo można go tylko podziwiać.

W łódzkiej sali koncertowej występowali też najsławniejsi ówcześni skrzypkowie tak polscy, jak i zagraniczni których nazwiska mówią same za siebie: wybitny skrzypek polski **Karol Gregorowicz** (1888), **Fr. Ondrzieczek** (1889), **Fritz Kreisler** (1894, 1913), bardzo częstym gościem był tu **Stanisław Barcewicz,** dając m. in. w 1900 r. jeden ze swych jubileuszowych koncertów 25-lecia pracy artystycznej, **Emil Sauret** (1902), światowej sławy skrzypek polski **Paweł Kochański** (1902), **Pablo Sarasate** (1904), **Willy Burmester** (1907), znakomity hiszpański skrzypek **Don Juan Manen** (1907), ówczesny król skrzypków **Eugen Yssave** (1907, 1911), **Jan Kubelik** (1913) i nasz znakomity skrzypek **Bronisław Hubermann,** który już jako chłopiec zachwycał swych licznych łódzkich wielbicieli.

Nie można też milczeniem pominąć koncertu najsłynniejszej naszej polskiej śpiewaczki **Marceliny Sembrich-Kochańskiej** (1889, 1911), której dano tak wysokie honorarium, jakiego przed nią jeszcze nikt w Łodzi nie otrzymał. Wśród wielu innych naszych śpiewaków, którzy w tej sali laury zbierali, należy wymienić przede wszystkim znakomitego basa **Adama Didura** (1901, 1906) i jedną z najznakomitszych śpiewaczek polskich **Janinę Korolewicz-Waydową** (1907).

Ponieważ Łódzki Dom Koncertowy nie miał własnej orkiestry, więc już od r. 1887 próbowali dyrygenci dwóch łódzkich orkiestr teatralnych Gustaw Balcarek i zwłaszcza Otton Heyer stworzyć orkiestrę symfoniczną, która do r. 1892 dała szereg koncertów symfonicznych. Jednak po zapadnięciu Heyera na zdrowiu zespół się rozleciał. W latach od 1899-1906 występowała stale w łódzkiej sali koncertowej **Orkiestra Symfoniczna Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego** pod dyrekcją Henryka Melcera, Tadeusza Joteyki, Jana Górskiego i A. Türnera. Stała orkiestrę symfoniczną otrzymał Łódzki Dom Koncertowy dopiero w r. 1915, czyli z chwilą utworzenia Łódzkiej Filharmonii.

ANNA POGONOWSKA

Mróz

Zakwitł mróz na mej szybie
Ostrym gotyckim kwiatem
Blade napełnił płatki
Zachód wrzącym szkarłatem

Pnie się łuk niespokojny
Z sztywnych splątany cierni
Pełzną podarte liście
Ku rubinowej pełni

1944

Mój świat i Ty

Kamień ciąży kamień ziębi kamień jest wilgotny
Linia nieba wśród pękniętych chmur wzbiera błękitem
W moim ciele wiatr odpoczął. Czujesz wiatru dotyk?
Czujesz przestrzeń która wzbiera ostrym moim rytmem?

Jeśli prędko będę biegnąć twardym trotuarem
Czy dostrzeżesz mnie że biegnę? Czy wyciągniesz dłoń?
Kamień ciąży kamień ziębi wilgotny jest kamień
W moim świecie — czy to czujesz — a przeczuwasz lot?

1945

Świadomość

Zahartowani na ból
Zahartowani na śmierć
Nauczyliśmy się żyć —
W mroźnym powietrzu sosna mrze
Z każdym starganym włóknem wie
Która żywiczna pęka nić.

1944

Przewartościowanie

Kamieniami osaczona ziemia Miasto
Niebo wielkie i czarne. To mnie nie pociesza
I serce moje milczy Bóg z niego uleciał
Cisza tłumaczy mnie jasno

Wiatr przyszedł Prąd powietrza to tylko Nic więcej
Gwiazda błyszczy Niech błyszczy Drżeniem jej nie zadrżę
Cieniem nie wstąpię w spokój Śmiercią w wieczność także
I nawet nic nie znaczy dla mnie dziś że płaczę

1945

Sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

Granit i hubka z krzesiwem

czyli

kto pichci?

(W sprawie Josepha Conrada)

W numerze 24-104 coraz poważniejszej „Współczesności" ukazał się zdumiewająco niepoważny, by nie powiedzieć żenująco nonszalancki, artykulik p. Ludwika B. Grzeniewskiego pt. „Zmierzch Conrada". W tym artykuliku, co zdanie, to sprzeczność, co stwierdzenie, to nieprawda, a cała przewrotność wywodów autora oparta jest na świadomym przeinaczaniu cudzych opinii albo przytaczaniu przestarzałych sądów dawno już obalonych przez nowsze głosy krytyków i badaczy dzieł Conrada.

A oto punkt wyjścia pana Grzeniewskiego: *„Chociaż referuję tutaj przeważnie cudze opinie, nie mam zamiaru ukrywać, że piszę z mściwą satysfakcją. Nie znoszę Conrada: klimatu moralnego i fałszu artystycznego tej literatury".* I powołuje się tutaj na dzisiejszą zgodność swoją w tym względzie ze stanowiskiem Jana Kotta w jego studium „O laickim tragizmie" z roku 1946.

Otóż to stanowisko Jana Kotta przestarzałe co najmniej „o 5 minut i 15 lat" zostało skutecznie podważone i, jeśli tak można powiedzieć, ze szczętem rozgromione przez wiele ówczesnych głosów polemicznych, a wśród nich chyba najdostatecznej przez Marię Dąbrowską w artykule pt. „Conradowskie pojęcie wierności" i w „Notatce na marginesie artykułu J. Kotta". Zresztą Kott nie był prekursorem tej polemiki, naśladował tylko i powtarzał to, z czym dwadzieścia lat przed nim wystąpił pod adresem Conrada, powodowany zazdrością o jego sławę, w równie dziki sposób znany amerykański pisarz drugiej gildii, Upton Sinclair, w książce „Mammonart an essey in economic interpretation" z roku 1926. Była to przysłowiowa „kula w płot" według trafnego określenia Marii Dąbrowskiej. Pikanterią śmiesznego wypadu Sinclaira było to, że wyżej od Conrada, bo najwyżej w hierarchii literatury światowej, stawiał Jacka Londona, zjeżdżając przy tym niemiłosiernie Szekspira, Balzaca i Flauberta, a obok nich właśnie Conrada, wyświadczając tym samym prawdziwie niedźwiedzią przysługę przyszłym pogromicielom Conrada w gatunku Jana Kotta i jego spóźnionym adherentom w rodzaju p. Ludwika B. Grzeniewskiego. Sądzę, że Jan Kott nie jest dzisiaj wdzięczny p. Grzeniewskiemu za powoływanie się przezeń na jego opinie o Conradzie sprzed lat piętnastu.

Tak samo na pewno nie będzie rad na emigracji Zbigniew Grabowski, z którego pracy „Po trzydziestu latach", zamieszczonej w zbiorowej książce pt. „Conrad żywy", a wydanej w Londynie 1957 roku, przytacza p. Grzeniewski wyrwane tendencyjne zdania, układając je w innym porządku i kurtyzując w miarę potrzeby, aby znaczyły co innego, niż chciał autor. Skonfrontujmy to, co napisał Zbigniew Grabowski, z tym, co z niego przytoczył p. Grzeniewski. *„Proza Conrada* — przytacza p. Grzeniewski — *wydaje się dzisiejszemu Anglikowi bardziej obca, aniżeli trzydzieści lat temu; nadmiernie ozdobna, ornate, zbyt dostojna i statyczna w swej kadencji".* I na tym p. Grzeniewski urywa. Ale Zbigniew Grabowski ciągnie dalej: *Nie znaczy to, by Conrad przestał być uważany za jednego z największych autorów Anglii XX wieku . — znaczy to po prostu, że i jego twórczość podlega nieubłaganym prawom wahań giełdy wartości literackich i pozaliterackich, zmianom smaku i popularności".*

A teraz drugi cytat p. Grzeniewskiego, który (ten cytat) w kontekście poprzedza pierwszy: *„Conrad nie jest dzisiaj autorem popularnym, zwłaszcza jeżeli chodzi o młode pokolenie".* I na tym p. Grzeniewski urywa, stawiając kropkę, zamiast przecinka, jak to jest w kontekście, który Zbigniew Grabowski ciągnie dalej: *„być może dlatego, że wartości jakie reprezentuje, wydają się w obecnej konjunkturze Anglii — spłycenia i amerykanizacji, jednakże bez dynamizmu amerykańskiego, sukcesów filozofii „happy-go-lucky" i „who caress?" — raczej staroświeckie".* No, czytelnik sam widzi, co to znaczy wyinaczyć sens zdania przez jego w odpowiednim miejscu skurtyzowanie. A poza tym, cóż to za argument, że „Conrad nie jest dzisiaj autorem popularnym"? Odkąd to miara popularności jest miarą artystycznej rangi? Czyżby zatem Norwid mniejszym był artystą od Konopnickiej czy Broniewskiego?

Śmieszna jest opinia Somerseta Maughama, zaprawiona dużą dozą żenującego szowinizmu, o czym p. Grzeniewski zdaje się nie wiedzieć, że Conrad, to „gadatliwy szarlatan". A kim w takim razie jest sam Somerset Maugham? Kto dziś zdolny jest czytać jeszcze jego zakalcowate tasiemce bez krzty inwencji i myśli? To już pisarz nie II-giej, jak Upton Sinclair, ale III-ciej gildii!

Tym zazdrosnym o sławę Conrada półgrafomanom światowej, niestety, popularności można przeciwstawić dziesiątki opinii o Conradzie takich pisarzy, jak Henry Miller, John Dos Passos, Robert Penn Warren, William

DROGI i BEZDROŻA KULTURY

Dalszy ciąg ze str. 1

wających na kierunek polityki kulturalnej.

Spójrzmy zatem na nasze miasto od strony jego charakteru i specyfiki środowiska. Sprawa bynajmniej niełatwa. Każde wielkie miasto jest skupiskiem licznych środowisk, bardzo zróżnicowanych w swoim stosunku do kultury, o różnych, trudnych do pogodzenia potrzebach. Łódź jest jednocześnie dużym skupiskiem inteligencji twórczej (pracowników nauki, literatów, plastyków i muzyków) i zawodowej i jednym z największych skupisk klasy robotniczej. Polityka kulturalna naszego miasta mieści zatem w sobie dwa pozornie sprzeczne i trudne do pogodzenia aspekty, na które wpływają z jednej strony potrzeby warstwy o wyrafinowanym smaku, o rozbudzonych i określonych wymaganiach, z drugiej zaś strony potrzeby środowiska robotniczego, także zróżnicowanego, w masie swojej jednak dopiero budzącego się do życia kulturalnego. Dylemat i sprzeczność pozorna, o czym zresztą nieco później. W każdym razie sterujący nawą kultury łódzkiej mogą stanąć przed alternatywą, na co położyć nacisk, jakie potrzeby wysunąć na plan pierwszy.

I tu niezmiernie trafne wydaje mi się sformułowanie prof. Szczepańskiego, który we wstępie do pracy Marii Niemyskiej-Hessenowej pt. „Świetlice łódzkie" pisze: „Rewolucja społeczna, stwarzająca nowy ustrój polityczny i ekonomiczny, musi być dopełniona przez rewolucję kulturalną, która tym klasom (klasie robotniczej i sojuszniczym klasom pracującym) da realną możność spełnienia ich historycznych zadań". W naszym łódzkim przypadku, w mieście o ogromnej liczebnie przewadze klasy robotniczej tak trafnie sformułowane w cytacie zagadnienie jest problemem najistotniejszym. Ale problematyka upowszechnienia kultury mieści w sobie z kolei różne aspekty. Jest to jednocześnie zagadnienie bazy materialnej i odpowiedniej koordynacji poczynań, czy też po prostu odpowiednich form organizacyjnych oddziaływania, mieszczą się tu problemy metod i ludzi, nade wszystko zaś problematyka treści.

Sprawie upowszechnienia kultury w naszym mieście poświęcono wiele dyskusji i posiedzeń. Gdyby udało się czas i zapał mówców przetworzyć na energię elektryczną, można by chyba zaspokoić potrzeby połowy miasta i zlikwidować niebezpieczne „szczyty". Niestety, rezultaty były niewspółmiernie małe w stosunku do zużytej energii i sprowadzały się do niewielkich osiągnięć w dziedzinie koordynacji i lepszej organizacji. A tymczasem, tu właśnie, w tej dziedzinie działalności kulturalnej, nadal panuje wszechwładnie rozproszkowana, nieskoordynowana działalność różnych instytucji kulturalnych, związkowych, której niejednokrotnie brak nie tylko kierunku, ale i zdrowego ludzkiego pomyślunku. Nade wszystko zaś brak rachunku dokonanego w konfrontacji potrzeb wynikających z założeń polityki kulturalnej i znajomości terenu, z realnymi możliwościami ich zaspokojenia. Dopiero taki rachunek może w pełni uwypuklić potrzeby i braki tzw. bazy materialnej.

Bazą materialną są oczywiście instytucje kulturalne, takie jak kina, teatry, opera, operetka, muzea, wreszcie domy kultury i świetlice. Te ostatnie przeznaczone są jak wiadomo dla środowisk budzących się dopiero do życia kulturalnego. Tu pozwolę sobie nawiązać do artykułu prof. Romana Kaczmarka pt. „Rozważania o mapie kulturalnej Łodzi" (patrz noworoczny numer „Odgłosów"), w którym autor, dzieląc nasze miasto na północ i południe, wykazuje upośledzenie południowej części Łodzi, pozbawionej niemal zupełnie urządzeń kulturalnych. Obraz nabiera ostrości, jeśli uświadomimy sobie, że śródmieście jest właśnie tym terenem nasyconym instytucjami i urządzeniami kulturalnymi, natomiast rozległe peryferie i dzielnice robotnicze to białe plamy na mapie kultury łódzkiej. Sprawa niełatwa do odrobienia, nawet jeżeli w przyszłych planach inwestycyjnych (a tak niestety nie jest) potrzeby mieszkańców tych dzielnic będą w większym stopniu respektowane.

Jak już na wstępie zaznaczyłem, potrzeby kulturalne występują w różnym stopniu wśród warstw i nawarstwień społecznych. Jak wiemy, klasa robotnicza w swej masie, o czym łatwo przekonać się badając frekwencję w teatrach i obserwując widownię, jest raczej tylko potencjalnym widzem teatralnym. Robotnik czy robotnica niechętnie przezwyciężają opory płynące ze zbyt wielkiej odległości czy też ekskluzywności widowiska. Należy zatem pomyśleć o organizacji widowni i to nie tylko w sensie zapewnienia transportu, ale także w sensie udostępnienia treści przez objaśnienie sztuki i dyskusję z widownią. Pewne próby były już dawniej czynione, zostały jednak rychło zaniechane. Może zrażono się brakiem szybkich efektów, a może nie znaleziono wspólnego języka z widownią robotniczą, może dobór sztuk był nieodpowiedni. Mimo wszystko, próby werbunku widza robotniczego winny być kontynuowane. Jest to kardynalny problem życia teatralnego naszego miasta. Cóż z tego, że zdołamy zapewnić teatrom potrzebne dla ich egzystencji i dalszego rozwoju środki finansowe, skoro nie zdołamy pozyskać widowni, zwłaszcza zaś widowni robotniczej. Oczywiście, sam werbunek widza nie wystarcza, trzeba zatroszczyć się o treści, które teatr widzowi przekazuje. Innymi słowy, warto przedyskutować repertuar widowisk pod kątem jego roli wychowawczej i światopoglądowej. Ale to już chyba temat dla oddzielnego artykułu.

Problematyki upowszechnienia kultury nie sposób wyczerpać w jednym artykule. Niewątpliwie do najważniejszych należy problem białych plam (ba, niemalże pustyni, jeśli chodzi o peryferie) na mapie urządzeń kulturalnych Łodzi. Jak je zapełnić uwzględniając realne możliwości płynące z ograniczonych środków finansowych — oto problem nie lada. W pierwszym rzędzie chodzi tu o urządzenia atrakcyjne dla potencjalnego, lecz jeszcze nie rozbudzonego odbiorcy dóbr kulturalnych. Czy nie warto się tu posłużyć atrakcyjnością nowych zdobyczy techniki i zainstalować na peryferiach, w pomieszczeniach nawet bardzo skromnych, dostępne szerszej publiczności telewizory. Można także tworzyć kluby międzyblokowe wykorzystując inicjatywę społeczną, można i trzeba chyba instalować tu i ówdzie — zwłaszcza dla młodzieży — kawiarnie, których brak daje się dotkliwie we znaki na bocznych ulicach i peryferiach. Pozwoli to nam przy niewielkim nakładzie środków finansowych uzupełnić luki w bazie materialnej, służącej sprawie upowszechnienia kultury. Musimy także w rachunku naszym uwzględnić odpowiednią kadrę działaczy oświatowych, nie zawsze i niekoniecznie rekrutujących się spośród etatowych pracowników kultury. Czy zawsze świetlice są tą niezbędną bazą dla pracy kulturalno-oświatowej, czy zawsze musimy sięgać do utartych już wzorów pracy świetlicowej, czy życie samo nie narzuca nam nowych form oddziaływania? Nie chcę przez to powiedzieć, że świetlice są już niepotrzebne, jednakże nie wszędzie i nie w każdym środowisku mogą działać skutecznie i nie wszędzie istnieją niezbędne dla ich powstania i działania warunki.

Wszelka praca wychowawcza, zwłaszcza zaś praca kulturalno-oświatowa, nie znosi sztywnych, utartych wzorców. Metody oddziaływania muszą wynikać z dokładnej znajomości środowiska, jego życia i potrzeb. Działacz kulturalny musi łączyć w sobie cechy społecznika z umiejętnością wrośnięcia w określone środowisko, jeśli ma sobie zdobyć jego zaufanie, nade wszystko zaś musi szukać nowych metod i nowych sposobów oddziaływania. Kurczowe trzymanie się sztywnych, nie zweryfikowanych w praktyce wzorców, to źródło niepowodzeń, a między innymi i źródło klęski, która w latach 1956-57 wstrząsnęła całym ruchem świetlicowym. Jednym z rozwiązań nabolałego już problemu upowszechnienia kultury będzie zatem wyjście poza utarte już ramy i formy działalności świetlicowej, szukanie nowych form organizacyjnych i nowych metod.

I jeszcze jedna sprawa. Kontrowersyjność między potrzebami bardziej wyrafinowanych odbiorców, a polityką szerokiego upowszechnienia kultury. Wspomniałem już o tym, że dylemat to pozorny. Poza potrzebą upowszechniania kultury, budzenia konsumcji kulturalnej, niemniej ważny jest problem rozwoju kultury. Kultura musi ustawicznie się rozwijać, jeśli nie chcemy, żeby skostniała, żeby zabrakło nowych treści i nowych form, dziś jeszcze może niedostępnych dla szerokich mas, ale w przyszłości oddziałujących także na szerokiego odbiorcę i konsumenta dóbr kultury. Właśnie ten postulat dalszego rozwoju kultury, wchłanianie nowych treści i szukanie nowych form mieści w sobie możliwości zaspokojenia najbardziej wyrafinowanych potrzeb. Rozwój kultury to sprawa nie tylko eksperymentu, to przede wszystkim podejmowanie i rozwijanie nowych treści czerpanych wprost z życia. Zatem troska o istnienie i należyty rozwój placówek eksperymentujących, szukających nowych form, dziś jeszcze dość ekskluzywnych, to w perspektywie rozwoju także troska o przyszłego masowego widza. Byłebyśmy tylko w naszych poszukiwaniach, w naszym eksperymentowaniu nie tracili odbiorcy z oczu.

Jak widzimy, polityka kulturalna, to rzecz złożonego rachunku, niewątpliwie trudnego, ale pilnego w rozwiązaniu. Wyrywanie poszczególnych spraw z ogólnego kontekstu, rozpatrywanie ich od przypadku do przypadku to przysłowiowe łatanie dziur. No cóż? Można łatać do czasu, póki worek trzyma, póki się nie rozleci. To jednak sprawy nie rozwiąże. A czas i życie nagli.

ALEKSANDER POSTOLOW

Faulkner, Ernest Hemingway, Thorton Wilder, John Steinbeck, André Gide, Albert Camus, T. S. Eliot, który swój głośny utwór „The Hollow Men" opatrzył nawet mottem z „Jądra ciemności" Conrada, Saint-Jonh Perse, nie licząc wspaniałych opracowań monograficznych G. J. Aubry'ego, Macauley'a i M. C. Bradbrouka (tego ostatniego pod charakterystycznie wymownym tytułem „Poland's English Genius").

Co zaś do twierdzenia p. Grzeniewskiego, że *„od kilku lat Państwowy Instytut Wydawniczy publikuje systematycznie utwory Conrada... a fakt ten nie wywołuje żadnego odezwu w krytyce, w publicystyce, w młodej literaturze"* — to oczywistość jaskrawie temu przeczy. Dość przecież wymienić cały szereg gruntownych studiów z ostatnich paru lat Zdzisława Najdera na temat Conrada w czasopismach polskich i zagranicznych, a potem takie książki jak „Conrad żywy" (1957) autorstwa zbiorowego, jak „Szkice o Conradzie" (1959) Marii Dąbrowskiej, jak monografia Róży Jabłkowskiej „Joseph Conrad" (1961), wydana przez Polską Akademię Nauk, jak osobny rozdział odkrywczych szkiców o Conradzie w książce Aleksandra Janty „Losy i ludzie" (1961), nie licząc kilku przekładów prac autorów zagranicznych o Conradzie, jak wspomniana już monografia G. J. Aubry'ego „Życie Conrada" (1968 w wydaniu PIW), jak pamiętnik Jessie Conrad „Józef Conrad" (1959 w wydaniu Wydawnictwa Literackiego), jak wreszcie obszerny szkic o Conradzie w książce André Maurois „Magicy i logicy" (1959 w wydaniu „Czytelnika").

Czy to mało aż siedem pozycji książkowych o Conradzie w ciągu zaledwie czterech lat? Któryż z naszych lub zagranicznych najgłośniejszych pisarzy współczesnych może się pochwalić podobną ilością opracowań swej twórczości w okresie tak krótkiego czasu? Kto tu pichci, mówiąc stylem p. Ludwika B. Grzeniewskiego, i straszy czytelnika rzekomym „zmierzchem Conrada"? Mściwość (na Conradzie? za co?) jest jak zwykle złym doradcą, skoro popycha do „pichcenia" nieprzyjemnie kompromitujących artykułów bez dostatecznej wiedzy o rzeczy.

A jeśli chodzi o „klimat moralny i fałsz artystyczny tej literatury"? Właśnie na tle tego wszystkiego, co się obecnie dzieje w Kongo, „Jądro ciemności" jest najlepszym sprawdzianem wartości moralnej i prawdy artystycznej dzieła Conrada!

Czyżby p. Ludwik B. Grzeniewski pragnął rozgłosu przez podpalenie jednej z najpiękniejszych na świecie katedr? Ależ granitu nie podobna podpalić za pomocą hubki z krzesiwem!

P. S. Ha, padło wreszcie to słowo „katedra" — powie może tutaj p. Ludwik B. Grzeniewski — oto jeszcze jeden wyznawca Conrada o modlitewnym do niego stosunku! Ano, cóż jednak poradzę na to, że najpiękniejszymi monumentami w Europie są katedry?

MARIAN PIECHAL

Teatr 7,15: „Kobieta w trudnej sytuacji". Na zdjęciu: Wanda Chwiałkowska w roli Katarzyny.

JAROSŁAW-MAREK RYMKIEWICZ

TEATR W TRUDNEJ SYTUACJI

Pe na pani, miłośniczka brylantów, mieszka wraz z papugą w domku z ogródkiem. Do domku zakrada się uciekający przed pościgiem milicji, ranny bandyta, który przed chwilą dokonał napadu na sklep jubilerski. Bandyta terroryzuje panią, po czym opuszcza domek z ogródkiem i zostaje zastrzelony. Pani, oskarżona o przywłaszczenie sobie brylantu, który bandyta miał pozostawić w czasie ucieczki w domku z ogródkiem, szuka pomocy u adwokata. Adwokat przybywa, pragnie uwieść panią i odnaleźć brylant. Ale oto zjawia się i prokurator, i on pragnie uwieść panią i odnaleźć brylant. Pani dysponuje co prawda brylantem, jest to jednak brylant fałszywy. Chcąc wypróbować uczucia panów „podsuwa im ów brylant i proponuje wyjazd na Florydę. Panowie nie dają się jednak nabrać i nadal szukają brylantu oraz konkurują do ręki pani. W stan oskarżenia postawiona zostaje również i papuga. Pani nie wie, którego z panów wybrać, chciałaby także uratować życie papugi. Panowie stają się agresywni i aplikują papudze pigułki reformackie. Na szczęście, odzywa się telefon, brylant został odnaleziony w kieszeni nieuczciwego prezesa Spółdzielni „Jubiler". Kłopoty sercowe pani i obu panów pozostają jednak nie rozstrzygnięte.

Jest to streszczenie sztuki Marka Domańskiego „Kobieta w trudnej sytuacji", wystawionej przez Teatr 7,15. Nie mam nic więcej do powiedzenia na temat tej sztuki, tego spektaklu, tej chałtury, tej rozrywki dla mas. Chciałbym tylko zauważyć, że państwo (państwo to ja), mając na względzie zapewnienie masom rozrywki, dopłaca do każdego biletu teatralnego pewną sumę pieniędzy. Bez względu na to, czy posiadacz biletu ogląda „Kobietę w trudnej sytuacji" czy „Hamleta".

Teatr 7,15 Marek Domański „Kobieta w trudnej sytuacji". Reżyseria: S. Milski.

JA ROSŁAW-MAREK RYMKIEWICZ

CO NOWEGO U MURZYNKÓW?

Niewiele wiem o Murzynach. Ale to co wiem, to wiem na pewno. Wiem, że Murzyni są czarni. Wiem, że mają wspaniale kręcone włosy i że ich zęby są olśniewająco białe. Wiem też, że Murzyni mają pewne, dość uzasadnione, pretensje do białych. Skąd wiem to wszystko? Widziałem pewnego Murzyna na Piotrkowskiej, a poza tym czytuję komentarze prasowe. Stąd właśnie moja wiedza o Murzynach. Stąd też zapewne wiedza o Murzynach, jaką zaprezentowali nam tegoroczni absolwenci Szkoły Teatralnej, grający w „Rodzynku w słońcu" Lorraine Hansberry, która to sztuka, jak dowiadujemy się z programu spektaklu, jest nowoczesna („Nowoczesność tej sztuki została zatwierdzona przez najwyższą w tej dziedzinie instancję"), aktualna („ostry problem nierówności... jest dla nas aktualny"), a przy tym nie wymaga udziwnienia formy („głęboki problem... nie wymaga udziwnienia formy"), a przez to jest pozycją odpowiadającą pedagogom pod każdym względem („czekaliśmy na odpowiadającą nam pod każdym względem pozycję"), gdy inne dzieła nowoczesnej dramaturgii, jako zawierające ideologię pesymistyczną, negację sensu istnienia i brak wiary w człowieka („podstawowymi elementami nowoczesnej dramaturgii są: ideologia pesymistyczna, negacja sensu istnienia, brak wiary w człowieka") nie odpowiadają im pod żadnym względem.

Do dyplomantów Szkoły Teatralnej trudno mieć pretensje o to, że niewiele wiedzą o Murzynach. Nie sądzę, zresztą też aby chcieli grać tych Murzynów. Sądzę, że Murzynów kazano im grać. Co zresztą, wbrew pozorom, nie jest takie trudne. Wystarczy bowiem pomalować się na brązowo, łyskać białkami i pokazywać olśniewająco białe zęby. Tak przynajmniej zdają się sądzić pedagodzy. A inny obyczaj, tajemnice psychiki, dziedzictwo krwi? To nieważne, widzowie i tak przecież zdają sobie sprawę, że oglądają na scenie białych przebranych za Murzynów.

Lorraine Hansberry, jak sądzę, napisał swą sztukę dla jakiegoś murzyńskiego zespołu amatorskiego. Rzecz jest wystarczająco nudna, by odstraszyć każdy teatr zawodowy, nie dysponujący choćby niewielką ilością Murzynów — amatorów. Gdyby zresztą sztuka trafiła na scenę teatru zawodowego! Nie byłoby w tym jeszcze nic złego. Ponieważ problem murzyński rozwiązywany jest na naszych terenach dość bezboleśnie, moglibyśmy mówić zaledwie o pomyłce repertuarowej. Murzynów — amatorów wybrano jednak spośród studentów Łódzkiej Szkoły Teatralnej. Dla każdego z nich była to pierwsza rola w życiu. Pierwsza murzyńska rola.

Cóż, trud pedagogów nie poszedł chyba na marne. Czternastu Murzynów — amatorów z pewnością długo będzie pamiętać swój debiut sceniczny.

PWSTiF im. L. Schillera, Lorraine Hansberry „Rodzynek w słońcu", Reżyseria: J. Walden, Scenografia: E. Nahlik.

TADEUSZ PAPIER

Pamięci inż. Stanisława Rogali ze Zrecza

„Liryczne okno to..."

Zaczyna się od scenografii. Jest brzydka. Rude pastwisko, wieś, a za wsią m'asto. „Zajmuj krowy", mówi ojciec, „ubieraj buty, pojedziesz do Dąbrowy na egzamin". Babka wyciąga nade mną chude dłonie. „Te słowa na złocie, srebrze albo wosku napisane, co dzień okadzone i na szyi zawieszone i co siedem dni znów raz okadzone ustrzegą cię od złego, ochronią..." Ojciec po swojemu milczy, matka wciska zwitek pieniędzy, „zgłoś się zaraz do Jasia", przypomina. Starszy brat Jan pracuje w Dąbrowie, mam więc oparcie i dlatego starzy mogą mnie wysłać w świat. Rzucam ostatni raz wzrokiem na dom, podwórze, stajnie, pastwisko. Matka daje suchym głosem ostatnie przestrogi. Dopiero teraz, po latach, odnajduje w nich wzruszenie. Słyszę głos matki, słowa zaklęć, „liryczne okno to", przez które ujrzałem świat. „Matko, matko... uśmiechać się chciej... czy zgadujesz co wyrażam nawet łzy gniewu a nieraz pieką gdy nie zasnę..."

Na rynku w Chmielniku ojca zatrzymuje stary Abram. „Dokąd to Szczepanie?" „Syna do szkół, do Dąbrowy". „Aj, jak to dobrze. Jak to mądrze Szczepan wymyślił". Stary pachciarz, który prawie codziennie wstępuje do naszej chałupy, kładzie rękę na mojej głowie. Otrzymuję błogosławieństwo Żyda. Wydaje mi się, że całe miasto wie już o mojej podróży. Mijamy brukowany rynek, zapchany wozami, w piątki odbywają się tu targi, stare domy, kamieniczki, sklepy. Ulice są zapchane chłopami, handlarzami koni. Z otwartych drzwi karczmy bije zapach wódki, śledzi, piwa.

Stacyjka leży za miastem. Ojciec wsadza mnie do małego wagoniku, tłumaczy: „Pojedziesz do Jędrzejowa. Tam się przesiądziesz na szeroki tor. Trzymaj się ludzi". Pierwszy raz jadę kolejką i pierwszy raz poza Chmielnik. Miasto ginie mi z oczu, tylko ze starego wapiennika unosi się jeszcze strużka dymu. Ale i ona wkrótce blednie. Mijamy pola, kępy sośnin, ugory, torfowiska.

W Jędrzejowie przesiadam się jak powiedział ojciec „na szeroki tor". Podsłuchuję rozmowy, dokąd kto jedzie. Liczę każdą stację. Boję się przegapić Dąbrowę, bo jest noc, w wagonie ciemno. O trzeciej nad ranem dojeżdżamy do Dąbrowy. Wysiadam, wychodzę na ulicę, co robić o tej porze? Pytam się kolejarza, gdzie jest szkoła hutnicza. Kolejarz wskazuje drogę, idę więc w tym kierunku i w końcu odnajduję budynek szkoły. Ale jest jeszcze za wcześnie, błądzę więc po ulicach, oglądam domy, jakich w Chmielniku nie widziałem, dziś mi się śnią po nocach, gdzie ja jestem, gdzie ojciec, matka, gdzie babka ze swoimi zaklęciami, ze słowami na wosku pisanymi? Wracam znowu do szkoły. Czerwony budynek jest pusty, za tymi oknami ma się rozstrzygnąć moja przyszłość.

Siadam na trawie przed szkołą, myślę sobie, niebawem zaczną się schodzić, więc jakoś się zorientuję. Najpierw przeszedł jakiś panek z laseczką pod pachą, nawet nie zwrócił na mnie uwagi, potem grupa starszych uczniów, ja wciąż siedzę na trawie. Patrzę, oczom nie wierzę, „Franek", krzyczę. Rzeczywiście chudy Franek, syn sąsiada, „Co ty tu robisz!", woła i natychmiast dodaje: „Jakżeś ty ubrany?!" Dzisiaj wiem, jak byłem ubrany, wyglądałem zapewnie jak strach na wróble przeniesiony do miasta. „Jaś cię oczekuje", powiada, „on już tu wszystko z profesorami omówił, no i wiesz, Jaś się ożenił!" Ta wiadomość jest dla mnie zupełną niespodzianką, pomyślałem sobie, co ojciec powie na ten ożenek, Jaś nikogo nie zawiadomił. Ale nie czas było przejmować się losem Jasia. Czekają mnie egzaminy. Franek mi wytłumaczył, gdzie mam się udać, do której klasy. „Sprawdź na liście, czy cię wywieszono".

Siadam w klasie w ostatniej ławce. Pierwszy egzamin z polskiego. Do klasy wchodzi ten sam panek, którego widziałem rano z laseczką. Zanim podyktował tematy, przeczytał listę obecności. Przy moim nazwisku zatrzymał się chwilę. „To pan jest...", powiada. „Tak" rzekłem cichym głosem. Nie byłem przygotowany na tego „pana". Ale przecież to była szkoła zawodowa, uczniowie prawie dorośli, ja sam kończyłem siedem oddziałów, mając szesnaście lat. Więc zostałem panem w dużych ojcowych butach i nieco przydługiej marynarce. Pamiętam tematy: „Kto był Jacek Soplica?", „Przygody Zagłoby na weselu chłopskim" i trzeci „Dlaczego chcę zostać hutnikiem?". Wybrałem pierwszy temat, zdaje mi się, że napisałem dobrze, bo „Pana Tadeusza" znałem prawie na pamięć.

Nazajutrz miał być egzamin z przyrody. Zostałem w szkole, lęk mnie jakiś ogarnął, nie chciałem wychodzić na miasto, pomyślałem sobie, że Jaś mnie może równie dobrze sam odszukać. Zresztą liczyłem na Franka, że da znać Jasiowi. Nie żałuję tego, jak dobrze się czułem sam jeden w szkole. Dla przyjezdnych przeznaczono jedną z sal szkolnych, ale tak się złożyło, że nikt oprócz mnie nie skorzystał z tej gościny. Wszyscy pozamiejscowi mieli tu w Dąbrowie kogoś bliskiego. Nie zapomnę nigdy tego popołudnia w szkole. Kupiłem pół bochenka chleba, jadłem, popijałem wodą, chodziłem sobie po pustej szkole. To było nadzwyczajne popołudnie. Podobnie jak ta groteskowa podróż z Chmielnika do Dąbrowy. Oczywiście, dzisiaj w moich oczach wygląda ona na groteskową, wtedy bym tak jej nie nazwał. Więc to popołudnie zeszło mi bardzo przyjemnie. Jadłem chleb, a chciało mi się pić, to szedłem do studni po wodę. Była ostra, zimna, smakowita. Zbliżał się wieczór, wziąłem więc garnuszek, aby się zaopatrzyć w wodę na noc. Przy furtce zastąpił mi drogę jakiś panek w kusym ubranku i z laseczką. W ogóle wszyscy młodzi ludzie chodzili wtedy z laseczkami. „Czy pan jest...?", „Tak", odparłem chowając garnuszek za siebie. „Ja jestem szwagier pańskiego brata", powiada, „przyszedłem po pana, brat wyjechał, więc nie mógł się zjawić". W ogóle był bardzo uprzejmy, nie dał nic poznać po sobie, że razi go moje ubranie. Ja zacząłem już się nieco wstydzić. Początkowo było mi wszystko jedno, nawet na okrzyk Franka „Jakżeś ty ubrany" nie zwróciłem uwagi. Teraz jednak, po całym dniu zaczęło mnie to i owo palić. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale dzisiaj wydaje mi się, że to chęć ukrycia się przed ludźmi spowodowała, że zostałem w szkole i nie chciałem nigdzie wychodzić. Tobiady", upomniała mnie na koniec.

Noc miałem bardzo złą, ogarnęła mnie depresja, cóż ja tu będę robił między tymi laseczkami, mówiłem, między tymi pankami, dopiero teraz zaczęły mnie palić różne półsłówka i docinki współkolegów, z którymi razem zdawałem. Postanowiłem, że nie będę już zdawał geografii, wracam do domu. Nazajutrz rano wymknąłem się ze szkoły, udałem się na stację. Ale przed samą stacją spotkałem ojca, prawie zderzyliśmy się ze sobą. Ojciec był równie zakłopotany jak i ja sam. „Matka mnie wysłała", powiedział, „bała się że tu zginiesz". Wydawało mi się że nie zwraca uwagi na mój pakunek, nie pytał nawet o egzamin. „Jaś się ożenił" rzekłem. „Co?", powiedział i ścisnął mnie za ramię. „Ożenił się", odparłem, „nie mieli czasu zawiadomić". „Chodźmy", rozkazał. Zawróciliśmy więc do domu Jasia. Po drodze nie wymieniliśmy ani jednego słowa. Ojciec był wysoki, dużo wyższy od nas, rzucałem od czasu do czasu okiem na jego chudą twarz, nic nie było poznać po nim. Ale znałem to milczenie i im bliżej było domu, tym większy niepokój mnie ogarniał. Zacząłem tedy opowiadać o Jasiowej, że jest ładna, jak mnie przyjęła, co mówiła. Ojciec jakby nie słuchał tego co mówię. Przed drzwiami przystanął chwilę, popatrzył na wizytówkę Jasia. Otworzyła nam żona Jasia i spojrzała pytająco na ojca. Wtedy ja wysunąłem się naprzód i rzekłem głośno: „To jest nasz ojciec". Jasiowa podeszła do starego i pocałowała go w rękę. Ojciec z kolei pocałował ją w czoło.

Na egzamin jednak nie poszedłem. Mimo to szwagier Jasia przyniósł mi wiadomość, że zdałem. Poleciałem wtedy do szkoły: istotnie na tablicy ogłoszeń wisiało moje nazwisko. Pierwszą moją czynnością był zakup czapki. Zerwałem wtedy raz na zawsze z pastwiskiem.

Ale to jeszcze nic. Zanim mogłem się bawić, jak Warren w „Gubernatorze" dochodzeniem mojej życiowej prawdy, pamięć ołowianego nieba nad rudym pastwiskiem długo mnie nie opuszczała.

Znowu się cofnę do pastwiska. Zanim wylądowałem w Dąbrowie chodziłem do szkoły w moim rodzinnym Zreczu. Były to lata dwudzieste trzecie, czwarte. U nas szkoły w dzisiejszym znaczeniu nie było. Pierwszym nauczycielem był mój stary stryj, który nie umiał do tej pory ani czytać ani pisać. Wojna dwudziestego roku zagnała go gdzieś pod Lwów. Tam czerwona armia wzięła go na podwodę i stryj dojechał z nimi aż za Kijów. Po drodze czytał szyldy sklepowe, potem ulotki. Żołnierze jakoś tam mu pomagali. Co powiecie, nauczył się czytać. Mówił potem, że oświatę zdobył na podwodzie. Po powrocie chłopi ze Zrecza umyślili założyć szkołę. I na nauczyciela wybrali najbardziej oświeconego i „oczytanego", to znaczy stryja. Lekcje odbywały się tylko w zimie, bo w lecie i na wiosnę musieliśmy robić w polu, paść krowy. W zimie było dużo czasu, więc na lekcje przychodzili także ojcowie. Stryj chodził po izbie z bykowcem, uczył alfabetu i rachunków, ojcowie grzali plecy przy ciepłym piecu, a gdy któryś z nas nie przygotował lekcji, odzywał się pierwszy lepszy b..s: „A bijże go bykowcem". I stryj walił po plecach. Nie żałował ręki. Nie zrozumcie mnie źle, jeśli powiem, że te bykowce stryja zrobiły z nas ludzi.

Ale ja byłem jednym z niewielu. Jeden na dwudziestu lub trzydziestu. Dzisiaj co trzeci dom w mojej wsi ma inżyniera. To jest ta pierwsza różnica. Potem jest jeszcze inna, ważniejsza. Obok zawodu istnieje jeszcze godność. Kiedy patrzę teraz na córkę i syna, którzy studiują na wyższych uczelniach i zestawiam ich ze sobą — wiem co to znaczy. Widzę tę różnicę. Młodzi, może jej nie dostrzegają, bo żyją inaczej. Ale ja wiem.

KRONIKA SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁOWNY

LEPSZY SOLIMAN niż BARBARA (XII)

Po przemówieniu króla na sesji obu połączonych izb, poselskiej i senatorskiej, i po opuszczeniu przez monarchę izby obrad wybuchła wśród posłów i senatorów burza: arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Dzierzgowski z niepojętym z punktu widzenia prawa kanonicznego zapałem wzywał, żeby grzech królewski, jaki wyniknie z rozwodu, rozłożyć i rozdzielić na głowy wszystkich mieszkańców kraju. Popierał go w tym biskup przemyski Jan Dziaduski, również domagający się rozwodu. Natomiast wojewoda sandomierski Jan Tenczyński (którego posądzono o autorstwo ulotek szkalujących małżeństwo królewskie) wołał w zapamiętaniu: że „samego Solimana tureckiego wolałby cierpieć na zamku królewskim, aniżeli Barbarę widzieć królową!"

Barbara przebywała w tym czasie ze swym dworem w Radomiu, skąd zasypywała swego stryjecznego brata Radziwiłła Mikołaja Czarnego (bawiącego podówczas przy królu na sejmie) listami domagając się wiadomości o przebiegu obrad sejmowych. Widocznie natarczywość Barbary, niespokojnej o swój los i małżeństwo z Zygmuntem Augustem przekroczyła miarę, gdyż Mikołaj Czarny odpowiadał na jej korespondencję listem do jej rodzonego brata Mikołaja Rudego, a swego stryjecznego, w sposób, który świadczy o jego zdenerwowaniu *„Panie Podczaszy. Dan mi dziś list od króla godziny 18, a teraz drugi o czwartej w nocy przyniesion do pana Krakowskiego. By o tym wszystkim tak pisać jak potrzeba, musiałbych czarta kanclerzem mieć, aby temu dosyć uczynił. Wszakoż co teraz być nie może w swoim czasie będziesz waszmość o tym wiedział, jedno to piszę, iż Pan Bóg mocen, że mi się łeb nie strzaska, co ja cierpię i w jakiej mierze stoją rzeczy moje dla tego pańskiego ożenienia. Ale prze pana Boga o to proszę, nie chcę więcej niechaj mi ta pani tej mej gorzkiej służby niczem nie płaci, jeno wdzięcznością inną, niżlim ją po te czasy znał; bo się tego boję, będzie li nieuwdzięczna mego dobrodziejstwa, tak mogę rzec: by jej Pan Bóg nie chlusnął tak jako jej ludzie życzą i winszują. Bo dziś w tej praktyce ciągnąc jestem tak żałośnym, a boleściwym człowiekiem, żem ledwie żyw. Jeśli mi jeszcze ma to więcej krwawić, tedyć Pan Bóg mścić będzie, bo ten zna jakim ja sercem czynię. Przebóg też o to proszę, niechaj inak niżeli w Dubinkach strzeże łaski pana swego, który się teraz krwawym potem o nią poci, a gdy go ogląda dalibóg niech mu inak głowę i nogi schyla niż li przed czasy było, by potem Bóg nie skarał za tę nie wdzięczność takiego dobrodziejstwa, że z prochu wznosi onę na majestat."*

Piękna Barbara musiała rodzić histeryzować. (Podobnie jak w czasie pobytu w Dubinkach) i również swemu królewskiemu małżonkowi słuszyć głowę, co można wnosić z dosyć cierpkiego w tonie listu Zygmunta Augusta w odpowiedzi na list żony, dającej posłuch różnym plotkom, przedstawiającym przebieg obrad na sejmie piotrkowskim już w nazbyt czarnych barwach: *Dan nam jest list od W.M. z któregośmy wszystko dostatecznie wyrozumieli. Wprawdzie było to u nas w podziwieniu iż W. M. dawała większą wiarę czyim powieściom aniżli naszym słowom, żeśmy to W. M. oznajmić mieli, gdyby co takiego było nam przeciwnego, tak jakośmy już i pierwej około tego pisali. Co się dotycze tego, abyśmy W. M. z miłości swej zwykłej nie opuszczali, tedy wtem W. M. wątpić nie potrzeba. Albowiem mamy to na dobrej baczności cośmy już raz Panu Bogu obiecali i W. M. małżonce naszej miłej".* Przeciwnicy małżeństwa królewskiego widząc, że nie mogą przełamać woli i uporu Zygmunta Augusta, gotowi byli uznać zawarty związek, wysuwając natomiast inny warunek, a mianowicie aby król, zrezygnował z zamiaru koronowania swej ślubnej małżonki.

Jak wielkie znaczenie przywiązywali ówcześni do koronacji, jako do aktu, który sprawia, że z woli Boga spływa na Pomazańca łaska i moc rządzenia, świadczy ceremoniał koronacyjny. Łączyło się to naturalnie z ówczesnymi poglądami, że wszelka władza pochodzi od Boga. Historyk z czasów Zygmunta Augusta, Marcin Kromer opisywał, że *„poświęcenie" (inauguration) króla odbywało się w Krakowie (dawniej w Gnieźnie). Arcybiskup gnieźnieński w towarzystwie dwóch biskupów namaszczał przed wielkim ołtarzem króla na ramionach świętym olejem. Następnie król przyjmował sakrament, na głowę wkładano mu złotą koronę, w prawicę — berło, a w lewą rękę — złote jabłko, po czym zasiadał na tronie wchodząc symbolicznie w prawa króla."*

Zygmunt August zasięgał w tej mierze rady Mikołaja Rudego, który w liście z Radomia odpisał królowi: *„Racz W. K. M. obaczyć, co by za żal, albo co za ujmę przyniosło potomstwu króla, gdzieby małżonka, którą W. K. M. wziął nie tylko za sługę, ale już i za towarzysza u boku swego wiecznie miała być niekoronowaną królową. Gdzieby z niedojrzałego drzewa był owoc, musiałby być i sam niedoskonały. także z małżonki W. K. M. pani niekoronowanej podobno by potomek W. K. M. czego Boże uchowaj w razie śmierci W. K.M. trudno mógł przyjść ku temu, aby opanować stolec przodków swych. Bo jeśli na zielonym drzewie to czynią, na uschłem co by było."*

Z powyższego listu wynika, że Radziwiłł przewidywał poważne następstwa dla ewentualnego potomka Zygmunta Augusta w razie niekoronowania Barbary.

Ciąg dalszy kroniki w następnym odcinku.

Rafał Orlewski

Sioło STAREGO PIETASZKA

Nie znajdziesz Przybyłowa na żadnej z map, prócz dokładnych topograficznych szta bówek. Albo może na niewidzialnej mapie, wrysowanej w pamięć ludzi, którzy tworzyli historię wioski, niepowtarzalną aurę wsi tradycyjnej, staropolskiej, w której ty — przypadkowy przybysz — czujesz się nieledwie jak w muzeum.

Ludzie mówią o takiej miejscowości, że to świat deskami zabity. Nie wierz potocznym uogólnieniom. Przybyłów jest odgrodzony od świata tylko fatalnymi dróżkami, którymi w czas słoty niesposób iść normalnie, bez narażenia butów na szwank. Z opresji wyjdziesz cało, gdy masz wiejskie „oficerki" — nieprzemakalne wysokie gumiaki. Droga nie jest jednak zbyt długa, z Łasku 10 km szosą, a następnie 2 kilometry błotnistej drogi, lecz gdy dojdziesz do celu — otrzymasz kubek gorącego mleka z pajdą przepysznego chleba. Dziwnym wyda ci się wtedy fakt, że do tej pory nie wykorzystano receptury na wypiek chleba stosowanej przez wiejskie gospodynie — dla uspołecznionej braci piekarskiej w naszych miastach.

* * *

Przybyłów jest wsią leżącą wśród wielkich ongiś lasów, dóbr dziedzica Hałaśkiewicza, w powiecie łaskim, jakieś 40 km od Łodzi. Dzisiaj to już nie tęgie bory, którymi ongiś wędrowali grajkowie, a jednego z nich gra na skrzypcach uratowała od niechybnej śmierci w kłach zgłodniałych wilków. Opowiadają o tym starzy przybyłowianie, znajdując wdzięcznych słuchaczy w dzieciach i takich jak ja — włóczących się w poszukiwaniu legend. Posłuchaj starego Warszawskiego, który w Gruzji walczył w carskich szeregach.

Pamiętasz — czytaliśmy kiedyś opowiadanie o starym rolniku, co boso orał glebę, twarz miał podobną do bruzd jakie wyorywał, a stopy spękały mu i sczerniały jak u defoewskiego Piętaszka. Przybyłów ma również takiego Piętaszka, blisko 80-letniego gospodarza; nazywa się Antoni Jędryszczak, i jeszcze nie gardzi pracą na roli, choć zdrowie ucieka z niego coraz szybciej. Jędryszczak jest najstarszym człowiekiem spośród 63 stałych mieszkańców Przybyłowa. W 1958 roku wypadały jego „złote gody" z młodszą o pięć lat Antoniną. Nie, nie otrzymali odznaczenia za długoletnie pożycie małżeńskie, przeszła im ta rocznica jak każde z poprzednich pięćdziesięciu lat — przy pracy i troskach, jakich nie brak wiejskim ludziom. Stary Piętaszek mówi, że to pewnie w miastach i tylko „uczonym" dają takie medale. Nic się nie stało — powiada — kto by się tam o ordery dopominał. Tu przecież żniwa, człowiek czatuje na pogodę, „kieby kot na mysz", żeby zboże zwieźć do stodoły.

Zdumiewającą pamięć posiadają ci staruszkowie. Opowiadają, a tobie wydaje się, że patrzysz na barwny film, z ich niezbyt dla nas pojętego sposobu życia, ich pracy, rozrywek. Wyobraź sobie, jak ciekawe są początki Przybyłowa, którego Jędryszczakowie są żywą historią?

Jeden z przodków, o nie bardzo chłopskim nazwisku Dzieciątkowski, dość już miał pańszczyzny, zbuntował się. Był to właśnie „czas przytłumiony", jak mówi babcia Jędryszczakowa, chłopów zwolniono z pańszczyzny, lecz siła była po stronie obszarniczej szlachty, która jeszcze przez 20 lat nakładała pańskie jarzmo na chłopów. Więc Dzieciątkowskiemu bunt uszedł na sucho, przywiózł na taczce swoje mienie, wykarczował trochę lasu, postawił drewnianą budę — i tak stał się wolny. Za nim przyszli następni. Sąsiednie wsie trzymano dalej w ryzach. Przybyłów zwolniono z odrobku. Stąd inna, nieoficjalna nazwa wsi — Wolniaki.

Na miejscu budy Dzieciątkowskiego widzisz dziś drewnianą chałupę, pokrytą słomą, coraz bardziej zapadającą w ziemię. Ostrzegam cię, gdy wejdziesz do wnętrza — zrób niski ukłon, inaczej nabędziesz guza na powitanie. Ludzie mają jednak odwagę — mieszkać w chałupie popodpieranej palikami! A może to nie odwaga, tylko swoisty rodzaj przywiązania? Przybyłowski Piętaszek otrzymał chałupę w spadku, nie wie, kiedy ją zbudowano. Ba, nawet stary Warszawski pamięta ją niemal taką jak dziś.

Budynki innych przybyłowian są młodsze. Spośród czternastu zagród — kilka zbudowano po wojnie. To prawie jedyny zewnętrzny znak współczesności. Drugim są cztery motocykle (było pięć, ten piąty został sprzedany przez właściciela, którego ojciec dokupował ziemię).

Przybyłów trudno zaliczyć do wsi współczesnej. Ludzie żyją tu jeszcze w atmosferze lat dawnych, według starych kanonów i nawyków, mają mentalność chłopa-przypisańca, który czuje respekt przed władzą — respekt strachu, a nie wiary w słuszność poczynań tej władzy.

Czasami i tobie trudno byłoby w to uwierzyć, nie wszędzie jeszcze sięga sprawiedliwość, często w takich Przybyłowach rządzi lokalna iustitia, kto sprytniejszy, temu łatwiej się dopomnieć o swoje, choćby cudzym kosztem. Syn Jędryszczaka złorzeczy, kiedy naciągnąć go na rozmowę, jest przekonany, że o wszystkim decydują kliki. Patrzy z pozycji swojej ziemi, której jakość zawyżono w klasyfikacji. Tyrać trzeba — mówi — aż oczy wyłażą, a nawet tej starej chałupy nie można rozwalić. Sam śpi w szopie, tyle co w tęgie mrozy przenosi się do mieszkania. Czy wiele się zmieniło w takim gospodarstwie od dawnych czasów?

Przychodzi mi na myśl opowieść staruszki Jędryszczakowej o latach pańszczyźnianych, kiedy „noc na pole wyganiała i noc przyganiała". A karbowi bili mocno za najmniejsze przewinienia. W jej głosie jest duma, gdy opowiada, jak to chłop Adamczyk uderzony niesłusznie, widłami przegnał karbowego i nie został ukarany, bo właśnie był to okres słabnięcia szlacheckiej władzy.

Najwięcej komentowało się te wypadki podczas zimowych pierzawek. Schodziły się dziewuchy drzeć pierze w długie wieczory, za nimi chłopaki. Wykorzystał to stary Zieliński, książek u niego było sporo, więc podsunął im pomysł czytania.

— Kto czytał? — pytam.

— Przecież nie umieli...

— Umieli — mówi babcia. — Niektóre chłopaki umieli, jeden od drugiego się uczył. Szkół dla nich nie było.

Babcia pamięta, jak to w jednej książce pisało o takim chłopie, co go dziedzic za głupiego uważał, a on odpowiadał dziedzicowi tak składnie — do wiersza. Pewno wiejski poeta. W jego gadaniu coś było, o czym dziedzic wiedzieć nie chciał. Nic jednak „głupawemu" chłopkowi nie zrobił, bo chłopina był dobry, dziedzicowe ugory z pni karczował. Przyszły kiedyś do chłopka dwie panienki-dziedziczówny, co tępe były w nauce, a miały się uczyć wierszy. To jak głośno czytały, chłop się nauczył najpierw, potem powtarzał z nimi, a im składniej poszło. Dowiedział się o tym „prufeser", nauczyciel tych panienek, zbadał sprawę i orzekł, że chłop wcale nie jest głupi. Ponoć belfer łaski u dziedzica stracił, ale wieść wśród chłopów się rozniosła.

Babcia była wtedy młodą dziewczyną, pamięta świetnie tę jedyną rozrywkę, te pierzawki, gdzie się czytało i śpiewało, a i z chłopakami różne cyrkowanie było. Aż do północy. Dłużej nie, bo skoro świt — do roboty.

* * *

Wiele jeszcze przeszedł maleńki Przybyłów. Do dziś pozostały ślady na stodołach po strzelaninie w 1914. Na skraju lasu znajdziesz charakterystyczne wgłębienia. To zarosłe groby żołnierzy niemieckich z pierwszej wojny światowej. Ostatnia wojna także nie oszczędziła przybyłowian. Kilku zginęło w walkach tragicznego września i później — w hitlerowskich katowniach. Psychopatyczny wyznawca idei führera chciał starej Jędryszczakowej wypalić oczy rozżarzonym haczykiem fajerkowym. Poparzył dłonie, którymi zasłoniła oczy. Niektóre rodziny powyciągano w nocy i wywieziono. Wielu o tym pamięta. Wspominają tamte czasy niechętnie. Ale spójrz na widownię, kiedy przyjeżdża kino z filmem o tematyce ostatniej wojny. Zobaczysz łzy na twarzach. „Nie chcę czegoś podobnego drugi raz przeżyć — mówi młoda kobieta. — Ciarki przechodzą, jak się tylko na filmie ogląda..."

Opowiedziałem ci dużo o przeszłości Przybyłowa. To zaledwie cząstka. Moja opowieść nie jest monografią Piętaszkowego sioła — któż zresztą zajmuje się monografiami wsi? Chyba jakiś nauczyciel-fanatyk, którego zbiory i opracowania skryją się w cieniu szuflady. Nie zgadzasz się ze mną? Kto wie, może twój optymizm podzielą kiedyś wydawnictwa?...

A tymczasem słuchaj dalej moich spostrzeżeń i szukaj w nich wszystkiego, co mówi o dniu dzisiejszym. W miarę jak wnikasz w życie wioski, dostrzegasz przeobrażenia dokonane po wojnie. Choćby tyle, że do każdej zagrody dociera prenumerowana prasa. Że kilka kobiet działa w kole gospodyń wiejskich w pobliskim Przałowie. Albo że rolnicy korzystają z maszyn posiadanych przez kółko rolnicze". Prawie nikt dziś nie miłości cepami!" — mówi Jędryszczak. A oświata? Powojenny narybek przybyłowian w całości kończy szkołę podstawową. Kilkunastu ukończyło średnią. Trzy osoby zdobyły wykształcenie wyższe. Ostatnio dyplom Akademii Górniczo-Hutniczej uzyskał Antoni Michalak. Jedna z tych osób była pracownikiem Polskiej Ambasady we Francji. Bezpośrednio — prócz dumy — Przybyłów nie zyskał nic z faktu ukończenia szkół przez ziomków. Po prostu — nie wracają na wieś. Przybyłów się wyludnia. To jeden z powodów zastoju gospodarczego i kulturalnego. Uśmiechniesz się, jak ci powiem, że zdrowi na umyśle ludzie z namaszczeniem mówią o przepowiedniach Sybilli (?), stanowiących swoistą biblię. Kosmonauci sięgają do Księżyca... co zresztą nie uchodzi uwadze mieszkańców Przybyłowa, komentują na żywo wyczyny radzieckich bohaterów. Przy okazji znów wypływa sprawa wojny. „Niech latają na Księżyc, jak się tym świat zajmie — wojny nie będzie". Ta alergia na wojnę jest wynikiem — niemal paradoks — zbyt powolnego przenikania nowego do Przybyłowa. Życie jest tu wolniejsze, podobne do życia ludzi odkrytych w puszczach w 15 lat po wojnie, nie wiedzących o jej zakończeniu.

Wiem, Przybyłów ma w swej najnowszej historii własnych bohaterów postępu. Pokażę ci kiedyś ich groby na szadkowskim cmentarzu. Nie tak dawno zmarł stary Turajczyk, odznaczony pośmiertnie za działalność wśród przedwojennych wiejskich komunistów. Jędryszczak stracił w 1948 roku najmłodszego syna, 22-letniego Henryka, plutonowego MO, który zginął z rąk bandyty „z Polskę Ludową" — jak głosi napis na szarym, kamiennym grobowcu. Masz rację, o tym trzeba oddzielnie napisać. Gdzieś w aktach sądu powiatowego w Łęczycy leżą suche dokumenty z tragicznego dnia. Pamiętają o tym towarzysze z KW PZPR w Łodzi, rozmawiałem, niektórzy brali udział w tych walkach. Może nawet zapoznany jest z tym dniem tow. Stefan Jędryszczak — I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego. Nawiasem mówiąc, pod ono towarzysz sekretarz jest krewnym starego, przybyłowskiego Piętaszka... Nie sprawdzałem, przyjmij to jako ciekawostkę, jeżeli wolno reporterskiemu włóczędze pisać anegdotycznie o poważnym acz miłym działaczu Partii.

* * *

Nie uwierzysz, że przylgnąłem serdecznie do Przybyłowa. Jeśli się do czegoś przywiązujesz, odkrywasz w sobie chęć widzenia w tym samych superlatywów. Przybyłów ma jednak wiele minusów. Taka maleńka wioska winna być chyba przykładem społecznej zgodności poglądów i poczynań. Niestety, wiele tu jeszcze zawiści, sobkostwa, braku chęci wspólnego działania dla dobra całej wioski — ot, choćby w przypadku fatalnego stanu dróg. Ileż pokoleń chodzi i jeździ krótką (2 km) drogą do Przałowa, dzieci do szkoły, drogą pełną wyrw, piaszczystą. Męczą się ludzie, męczą konie z naładowanymi furami zboża... Wystarczyłoby trochę dobrej woli i pracy, żeby drogę zbudować z pożytkiem dla wszystkich.

Za dużo we wsi niepotrzeb-

Dokończenie na str. 10

Zbigniew Nienacki

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„WOREK JUDASZÓW"

Jestem o tyle w dobrej sytuacji, że nie muszę naszym Czytelnikom przedstawiać szerzej Zbigniewa Nienackiego. Jest to bowiem pisarz, który ma za sobą szereg pozycji książkowych, bardzo zresztą poczytnych. „Uroczysko", „Skarb Atanaryka", „Pozwolenie na przywóz lwa", niebawem wyjdzie znana czytelnikom łódzkiego „Głosu Robotniczego" — „Tajemnicza laseczka", można by jeszcze mówić o sztukach teatralnych, a w każdym razie przypomnieć, że „Termitierę" będziemy mogli oglądać w Teatrze Jaracza i nie tylko w Łodzi.

Jak na stosunkowo młodego pisarza, dorobek niemały. Myślę wszakże, że powieść „Worek Judaszów" *), o której chcę napisać kilka słów, stanowi w twórczości Nienackiego pozycję dość szczególną. Książka dotyczy trudnych lat, które zwykliśmy nazywać okresem walki o utrwalenie władzy ludowej. Lata opisywane niejeden raz ze zmiennym powodzeniem. Faktura sensacyjna, zdarzenia bolesne, ale i bardzo frapujące, dobrze — jak mówimy — cisną się pod pióro. Pomijając już partyzancką scenerię i wszystkie tajemnice konspiracji — tak chętnie widziane w książce przez czytelników, bratobójcza walka zawsze stanowiła temat trudny, ale mogący przynieść sukces nakładowy. Jednak nie zawsze tak było. Można przypomnieć „Rozstaje", czy „Łuny w Bieszczadach" jako przykłady książek, które nie zdobyły sobie serca czytelnika.

Tymczasem „Worek Judaszów" trudno już dziś znaleźć na półkach księgarskich. Dlaczego? Nienacki zadał przede wszystkim kłam modnym tu i ówdzie mitom, jakoby książka politycznie zaangażowana, powiem więcej — książka na wskroś polityczna, z reguły musiała pochodzić z krainy drętwej mowy. Sztuka „mocna" ideowo — nie może liczyć na widza. Powiem raz jeszcze — „Worek Judaszów" obala ten mit. Mechanizm obalenia mitu jest tu niezwykle prosty. Jeżeli książki „anty" są poczytne, to i „za" są poczytne, ponieważ one także są „anty". Rzecz w tym tylko jakimi środkami artystycznymi owo „za" jest wypowiedziane.

Nienacki, owszem, cytuje nawet autentyczne dokumenty, wygląda to z pozoru podejrzanie, grozi rozbiciem tkanki powieściowej. Jest wszakże akurat przeciwnie, on je umiał bezboleśnie, bez zgrzytów wkomponować w całość. Powieść zyskała tylko szersze walory poznawcze. Nienacki wprowadza świadomie elementy sensacji. Mój Boże, czegoż to nie ma w „Worku Judaszów"! Napady, zakonnica piękna w formie, reakcyjna w treści, trupy mniszek, piszczele, klasztory, komitety powiatowe partii, smutna miłość, tajemniczy wywiadowca z Urzędu Bezpieczeństwa i amerykańskie żyletki. A jednak to bierze, bardzo bierze, ale nie jak sensacja sama w sobie, lecz jak prawda o strasznych latach. Sensacja, która jest przyporządkowana prawdzie, posiada więc wartość niejako podwójną. Frapuje i wzbogaca wiedzę o walce najcięższej, jaką sobie można wyobrazić. Polak strzela do Polaka, orzeł z korona czubi się z orłem bez korony.

Nienacki opowiada się politycznie, ale równocześnie wyprowadza nas z krainy drętwej mowy. Po prostu nie agituje, lecz mówi ładnie zakomponowanymi obrazami. Jakżeśmy daleko odeszli od schematyzmu! Czołowa postać książki jest partyjnym towarzyszem, nie byle jakim zresztą. Albert musi przeniknąć wgłąb podziemia, aby przeciąć nie boczne i mniej ważne, ale główne jego nerwy. Mógłby więc, Albert, oj mógłby, stać na „bazie" i mówić „po linii", wygłaszać patriotyczne tyrady, sypać mądrościami z klasyków, lub przynajmniej z notatnika agitatora. A z nim wszyscy inni towarzysze, których w książce nie brak.

Nienacki odszedł od modelu żołnierza walczącego z podziemiem, żołnierza, który mówi „same słuszne rzeczy". Tłumaczy postawy życiowe bohaterów, w końcu również ideowe postawy w obrębie psychologii. Jest więc w książce miejsce nie tylko na sensacyjne zdarzenia i dokumenty, czy wartką fabułę, ale i na opisanie bogatej sfery przeżyć wewnętrznych człowieka — wahań, pomyłek, strachu, ambicji, odwagi i tchórzostwa, poświęcenia i oportunizmu. Z tych elementów charakteru, dobranych w wypadku każdego człowieka inaczej buduje Nienacki sylwetki bohaterów — barwne i plastyczne. Dlatego właśnie tak trudno dziś kupić „Worek Judaszów".

*) Zbigniew Nienacki, „Worek Judaszów", „Czytelnik" — Warszawa, 1961.

Chałupa Jędryszczaków

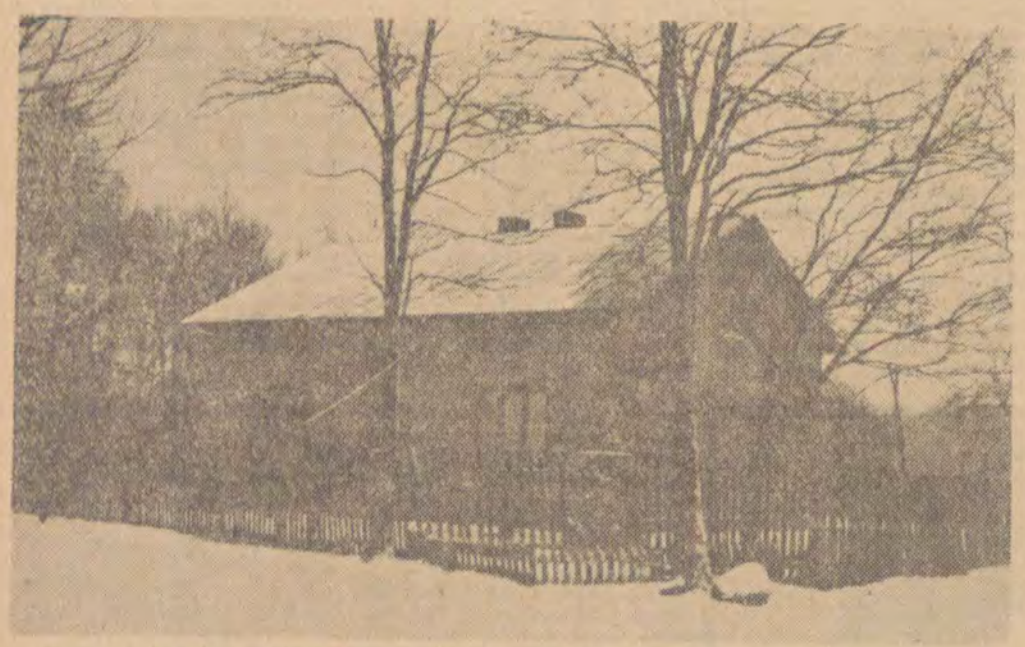

Dom, w którym mieszkał jeszcze stary Turajczyk — (dziś dom ten należy do zięcia i córki) Zdjęcia: Roman Wilk

SIOŁO STAREGO PIĘTASZKA

Dokończenie ze str. 9

nego plotkarstwa, robienia sensacyjek z błahych powodów, potem „gniewy" i sarkania na długie miesiące. Jakoś nie widać młodzieży, a są we wsi młodzi i niegłupi ludzie. Wrastają szybko w ogólną atmosferę, toną w niej. Sporadyczne rozrywki kulturalne: zabawy, kino objazdowe, przedstawienia zespołu amatorskiego — mają w Przatowie, wsi większej i bogatszej, gdzie jest GRN, remiza strażacka, szkoła, sklep. Tam się dla nich rozrywka pitrasi, sami przybyłowianie prawie biernie ją konsumują. Jak by nigdy nie wykazywali zdrowej reakcji na wielkie i małe wydarzenia!

Opowiadam ci o tym, bo przychodzi mi niezbyt wesoła refleksja że Przybyłów zanika. Chciałoby się inaczej, chciałbym życzyć przybyłowianom zmiany życia, widzieć wioskę-ulicówkę starego Piętaszka na miarę czasów wielkich, na miarę lat sześćdziesiątych.

Wybierz się ze mną do Przybyłowa. Latem zobaczysz tu grupę łodzian — letników korzystających ze wspaniałego powietrza, zbierających jagody i grzyby. Zapytamy przybyłowian o nasze niepokoje i wątpliwości. Może i oni marzą o lepszym życiu, o rozkwicie wioski, o wykorzystaniu jej wartości.

Obejdziemy Przybyłów wieczorem, wzdłuż gęstej ściany lasów, nad zagonami, odwiedzanymi czasem przez dziki, wyrządzające wiele szkód. Usłyszysz pomrukiwanie odpoczywającego bydła w prymitywnych obórkach, jazgot lub wycie psów, zobaczysz w którymś oknie przykręconą „piątkę" — lampę naftową, a przy niej zaczytanego urwisa, co kradnie czas snu na książkę, bo w dzień pracuje jak dorosły za pługiem, kieratem, przy wykopkach. Może on będzie tym niespokojnym duchem, któremu nie wystarczy obraz sioła z młodości starego Piętaszka, i spróbuje walczyć o Przybyłów — wieś anno 1961.

Ciekawostki

KOBIECA URODA W DAWNYCH CZASACH

Opowiadają, że grecki malarz Zeuxis otrzymał pewnego razu zamówienie, żeby namalował obraz pięknej Heleny według własnej fantazji i namalował ją tak piękną, jak tylko potrafi.

Zeuxis zaprosił do siebie najpiękniejsze w mieście dziewczęta i kobiety i bardzo uważnie studiował to, co która z nich miała najpiękniejszego: ręce, nogi, szyję, usta lub oczy. Stworzył w ten sposób z poszczególnych piękności idealny obraz, który rzeczywiście zasługiwał na podziw.

Podobny „kombinowany" ideał piękności zestawił stary poeta hiszpański, który twierdził, że na piękno kobiety składa się trzydzieści rzeczy:

Trzy rzeczy muszą być białe: cera, zęby, ręce.
Trzy czarne: oczy, rzęsy, brwi.
Trzy czerwone: wargi, policzki, paznokcie.
Trzy długie: ciało, włosy, ręce.
Trzy krótkie: zęby, uszy, stopy.
Trzy szerokie: piersi, brwi i przestrzeń między brwiami.
Trzy wąskie: usta, stan, szyja.
Trzy tłuste: ramiona, boki, łydki.
Trzy cienkie: palce, włosy, wargi.
Trzy małe: nos, głowa, palce u nóg.

Nie można twierdzić, że wiele z tego, co stary Hiszpan uważał około 1450 roku za piękne, uznano by za piękne i obecnie. Pewne jest jednak, że nawet autor tej recepty nie znał żywego egzemplarza, który odpowiadałby wszystkim jej wymaganiom.

(t..j.b.)

informacje i zaczepki

Łódź zatrudnia ponad 12 tysięcy pracowników służby zdrowia, a wydatki na lecznictwo wynoszą 28 procent miejskiego budżetu. Cyfry te podano na spotkaniu przewodniczącego RN m. Łodzi mgr Kaźmierczaka i kierownika Wydziału Zdrowia dra Indulskiego z mieszkańcami naszego miasta.

◎

Łódzkie Zakłady Radiowe wyprodukują do końca tego roku 50 grających szaf. Podobno obdzielone nimi zostaną niektóre świetlice i restauracje. Nawiasem mówiąc, ten sposób rozrywki nie wydaje nam się najmądrzejszy. Złośliwi twierdzą, że wspomniane zakłady przystąpią niebawem do produkcji... katarynek.

◎

Duże zainteresowanie wśród melomanów wywołał występ radzieckiego pianisty Antona Ginzburga. Artysta grał w Łodzi drugi Koncert Fortepianowy C-moll Rachmaninowa.

◎

W relacji „Dziennika Łódzkiego" z rozmowy czytelników z dyrektorem MPK czytamy: „Trasa na Łagiewniki jest najdłuższa". Droga do poprawności językowej jest, jak widać, o wiele dłuższa.

◎

Reprezentacyjny zespół tańca im. Szymona Harnama wyjechał przed kilkoma dniami na tournee po ośrodkach polonijnych w Belgii. Artyści dadzą tam prawdopodobnie około 15 koncertów.

◎

Bardzo dobrze zrobił Łódzki Oddział PTT-K organizując dla młodzieży szkolnej rajd po Łodzi „Szlakiem pamiątek". Uczestnicy zobaczyli: miejsca wieców i zbiórek strajkujących robotników, domy Tuwima, Reymonta itp.

J. W.

JERZY DAGOBERT

Operacja „WILCZE STADA"

Wiosną 1943 roku siatki wywiadowcze państw zachodnich rozlokowane na terenie hitlerowskiej Rzeszy, jak również w państwach okupowanych otrzymały od swoich mocodawców kategoryczne dyspozycje: w ciągu najbliższych tygodni bezwzględnie doprowadzić do końca akcję „Ship"! Specjaliści z angielskiej Secret Service z zakłopotaniem rozkładali ręce, godzinami dyskutowali otrzymane dyspozycje ze swymi amerykańskimi kolegami; Wszystko jednak nie doprowadzało do żadnych konkretnych wyników. Transporty alianckie płynące przez Atlantyk stale były pod groźbą napadów hitlerowskich okrętów podwodnych. Setki tysięcy ton materiałów wojennych płynących z Ameryki do Europy, szło na dno Atlantyku. Niemieckie U-booty bezkarnie buszowały po oceanie, siejąc zniszczenie wśród konwojów i transportów sił alianckich. I chociaż z miesiąca na miesiąc powiększała się ilość zatopionych przez aliantów piracki okrętów podwodnych nie potrafiono całkowicie zapewnić bezpieczeństwa tych transportów od których bardzo często zależało powodzenie niejednej strategicznej operacji na europejskim obszarze frontowym.

Powzięto więc jedyną słuszną decyzję: trzeba zniszczyć hitlerowski przemysł produkcji okrętów podwodnych. Tylko dezorganizacja tego przemysłu utrudni Niemcom produkcję, tylko celny cios, wymierzony w ośrodki produkcji niemieckich U-bootów, zadecyduje o tym, że hitlerowskie okręty podwodne nie będą mogły w takiej masie, jak dotychczas torpedować transportów alianckich.

Nietrudno było ustalić miejsca, w których znajdowały się kluczowe zakłady i stocznie na terenie Rzeszy i w krajach okupowanych. Do głosu przyszło lotnictwo bombowe. Obrócono w gruzy stocznie w Hamburgu, Lubece i Bremie, zniszczono szereg innych większych portów. Zbombardowano niejeden fiord w Norwegii w przewidywaniu, że właśnie tu, w często niedostępnych miejscach — hitlerowscy okupanci budują i montują swoje okręty podwodne.

Mimo to — niemieckie U-boty nadal pojawiały się w wielkich ilościach na oceanie. Nie pomogły zniszczenia i bombardowania. Okręty podwodne budowane w jakimś nieznanym miejscu, którego lokalizacji nie potrafiły ujawnić ani wzmożona praca wywiadu angielskiego, ani ciągła penetracja przez odnośne komórki Ruchu Oporu krajów okupowanych.

W tej sytuacji wywiady alianckie porozumiały się z wywiadom radzieckim, który zaproszono do wspólnego rozwikłania tej zagadki. Nadchodził maj 1943 roku.

LĄDUJE HANS EBER

Noc zaczęła ustępować przed świtem gdy spod z wolna przesuwających się chmur wyskoczył samolot. Leciał od północnego wschodu i teraz zatoczył krąg nad rozległą doliną. Po chwili zniknął w chmurach, by znów pojawić się nad doliną. Szarzejącą kopułę nieba przecięła biel opadającego spadochronu. W chwilę później skoczek zdejmował z siebie pasy spadochronu.

Mało było prawdopodobne, by ktokolwiek mógł rozpoznać w mężczyźnie idącym

drogą do Opola tego który przed niecałą godziną oderwał się od samolotu. Wyglądem przypominał urzędnika, który, z teczką pod pachą, szedł do miasta. W kieszeniach miał nie budzące wątpliwości dokumenty, które stwierdzały, że Hans Eber, buchalter z Gliwic udaje się do brata w Opolu. Prócz tego zaświadczenie komisji lekarskiej oraz dokument wojskowy potwierdzały, że Eber na skutek ciężkiej wady serca zwolniony został ze służby wojskowej. Nikt, najbardziej nawet podejrzliwy żandarm, nie mógł przypuszczać, że Hans Eber jeszcze kilka dni temu spacerował po... Moskwie.

Dom przy ulicy Wilhelmstrasse, w Opolu był parterowym budynkiem, niczym nie wyróżniającym się spośród dziesiątków z tej podmiejskiej dzielnicy.

Eber nacisnął dzwonek u furtki ogrodzenia: raz krótko, po chwili przerwy — dwukrotnie krótko i znów po ułamku sekundy — raz długo. Od strony drzwi wejściowych podreptał ku furtce starszy, siwy mężczyzna. Przez chwilę przyglądał się przybyszowi, po czym z uśmiechem zapytał.

— Nie było dziś opóźnienia pociągu z Murnau?

— Tory już naprawili, mam okulary dla Klary — odpowiedział zapytany, wyciągając z kieszeni brązowy futerał od binokli.

Obaj weszli do domu. Ebert bez słowa szedł za siwym mężczyzną, który — gdy znaleźli się w obszernym przedpokoju wskazał na jedne z drzwi.

— Proszę wejść i zaczekać.

W kilka minut później do pokoju wszedł młody człowiek, barczysty, w okularach. Podali sobie ręce i usiedli przy niewielkim stole.

— Nareszcie — powiedział człowiek w okularach.

— Trzykrotnie wylatywałem, dopiero za czwartym razem były warunki do skoku.

— Wszystko w porządku?

— Raczej tak, nikogo po drodze nie spotkałem

— Co u pułkownika?

— Chyba czeka na wiadomość — odpowiedział z uśmiechem Ebert.

— No, tak — potwierdził rozmówca i spojrzał na zegarek. Dobrze się składa, nasz czas... I wstając od stołu, zwrócił się do przybysza:

— Jesteście zmęczeni. Wasz pokój na piętrze, idźcie odpocząć.

Podali sobie ręce i wyszli razem. Ebert udał się na piętro a młody człowiek w okularach wyszedł z domu tylnym wyjściem. Przeszedł przez ogród, który spadał dość stromym zboczem ku rzece. Skierował swe kroki do śluzy, która znajdowała się tuż obok.

* * *

W godzinę później adiutant położył na biurku pułkownika kartkę papieru, na której w równym szeregu nalepione były paski taśmy pisma maszynowego. Pułkownik kilkakrotnie przeczytał tekst i nie bez zadowolenia sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

Energicznie wykręcił numer i rzucił w mikrofon:

— Jest na miejscu... tak, bez przeszkód... kontakt nawiązany... przystępujemy do akcji... rozkaz...

Odkładając słuchawkę musnął wzrokiem stojący na biurku kalendarz. Był siedemnasty dzień maja 1943 roku...

Dokończenie za tydzień

Redaguje Zespół ★ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ★ Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 144-78 ★ Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ★ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ★ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW "Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ★ Zam. 131 I. A-6

Czy zmierzch teleturniejów?

Coraz rzadziej — tak się przynajmniej słyszy — zasiadają ludzie przed telewizorem w godzinach, w których zaplanowany jest teleturniej. Ta — niegdyś tak atrakcyjna i lubiana — forma telewizyjnej rozrywki (przy okazji rozgrywki — często o dość poważną stawkę) jak gdyby zesztywniała, wpadła w szablon, zaczęła nudzić.

Emocjonująca walka drużyn przy „dwudziestu pytaniach" z chwilą opracowania przez zawodników całego systemu pytań — pytanie grupowe, pytanie literowe od A do G, od G do N i tak dalej — stała się dla telewidzów czymś abstrakcyjnym, trudnym do śledzenia, a co za tym idzie mało interesującym.

Podobnie z „drzewkiem mądrości". Encyklopedyczna wiedza z zakresu polityki międzynarodowej nikogo specjalnie nie bawi, a nawet nikomu nie imponuje — można z powodzeniem obkuć się dat, faktów i nazwisk, a nie potrafić skomentować najprostszego wydarzenia politycznego.

Kiedyś — gdy nikt się do teleturniejów zbyt starannie nie przygotowywał — były one rozgrywką między kilkoma intelektami; dzisiaj są już tylko sprawdzianem pojemności pamięci uczestników i stopnia ich obkucia. Zamiast zdawać na politechnikę czy na uniwersytet, „zdaje się" — tyle że publicznie — na... talon za ileś tam złotych, ale ten rodzaj zdawania przed panem Serafinowiczem dawno już przestał frapować kibiców.

Charakterystycznym przykładem „usztywniania się teleturniejów może być konkursik poświęcony Tuwimowi — chodziło tu w zasadzie tylko o znajomość możliwie wielkiej ilości wierszy poety, w czym zresztą zawodnicy także szczególnie nie błyszczeli. Tymczasem wiemy doskonale, że Tuwim był nie tylko poetą. Że był bibliofilem i szperaczem. Autorem licznych książek niewiele mających wspólnego z mową wiązaną. Twórcą kabaretowym. Adaptatorem rozlicznych operetek i komedii muzycznych. Tłumaczem. Klasykiem polskiej piosenki estradowej. Miłośnikiem „czystego nonsensu", współautorem rozlicznych gazetek spod znaku radosnego absurdu.

Długo by jeszcze wyliczać, kim był i czym interesował się Tuwim, ale autorzy teleturnieju zdają się o tym nie wiedzieć. Nie wpadną nawet na pomysł zrobienia trzyminutowej dokrętki z — przypuśćmy — trasy jaką przemierzał idąc z domu do szkoły. Nie wplotą żadnej Tuwimowskiej piosenki. Nie zaczepią nikogo na temat „Pracowitej pszczółki", czy „Grochu z kapustą". Nie zapytają o czary, magię i dziwności.

Nie, oni kochają tylko poezję. Kilku aktorów lepiej lub gorzej recytujących Tuwima, kilkanaście pytań czytanych z karteczki, trzy tysiące ofiarowane zwycięzcy, półtora — jego rywalowi.

Prosto, nieskomplikowanie, ale za to bardzo nudno. Małe seminarium poetyckie, na którym ucieszymy się bardzo, jeżeli już padnie nazwisko Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej... Seminarium prowadzone bez wyobraźni, wyprane z pomysłów i chwytów — niechby nawet formalnych. Jeżeli naprawdę wierzymy, że ludzi tak bardzo interesuje, kto wygra tych kilka tysięcy, to przeprowadzajmy wywiady z triumfatorami w toto-lotka i w loterię państwową, z mistrzami Służewca i laureatami konkursów samochodowych PKO.

A teleturnieje róbmy inaczej. Ciekawiej i przede wszystkim z większą myślą o telewidzach; jeżeli zaś chodzi tu i o pieniądze również, to bez żenady oszczędzałbym je na nagrodach. Rozgrywka dla samej rozgrywki też ma uroki i nie wątpię, że smak pojedynku bardziej niż wizja 3000 ściąga zawodników na telewizyjną planszę.

Można by jeszcze długo na ten sam temat, szczęśliwie jednak jesteśmy w niejakiej większości — w niejednej gazecie napotkałem już bowiem na utyskiwania w podobnym utrzymane duchu.

Skoro zaś tak, to nie pozostaje nic innego, jak starannie przyjrzeć się dotychczas faworyzowanym formom teleturniejów, oddać je weryfikacji i wymyślić formy nowe, atrakcyjniejsze, nie powielane w nieskończoność.

W przeciwnym razie miły kiedyś naszemu sercu sygnalik teleturnieju, może zacząć coraz częściej i coraz to więcej kogo zachęcać do zamknięcia aparatu. Nie prowadzimy wprawdzie w Polsce systematycznych badań w tej materii, a szkoda — sygnały w postaci pstrykających wyłączników okazałyby się zapewne nader alarmujące.

J. PANASEWICZ

Kolejna „Kobra"

NAROBILI APETYTU

Bob Hawk nie ma litości! Mało mu, że jego pozbawiony talentu dziennikarz spija smakowite coctaile podawane mu raz za razem przez przystrojoną w blond peruczkę Izabelę Pieńkowską. Mało mu, że sensacyjne reportaże spadają temuż dziennikarzowi wprost na biurko. Nikczemny autor każe jeszcze naczelnemu łączyć się z drukarnią i krzyczeć w tubkę „za pół godziny leci nadzwyczajne wydanie", a nam — nam, którzy pełny tydzień mordujemy się z cyklem produkcyjnym „Odgłosów" — patrzeć jak z maszyny rotacyjnej wyskakuje gazetka za gazetką.

Izabela Pieńkowska, wprawdzie też na scenie ale zbliżona do autentycznej wersji". Tajemnicza ręka widoczna na zdjęciu należy do Mariusza Gorczyńskiego.

Co prawda wszystko okazuje się snem — ot, jeszcze jedna konstrukcyjka typu „Piękności nocy" — ale co narobiono nam wszystkim apetytu, to narobiono...

Poza tym łódzką „Kobrę" była całkiem przyzwoita. Zgodnie z logiką i konwencją oblakańczego snu, tempo (choć jeszcze zbyt wątłe) i fantastyczność wydarzeń nasilały się z biegiem czasu, sytuacje były niekiedy naprawdę zaskakujące, a poszczególne ujęcia operatorskie (przesłuchanie dziennikarza!) pierwszorzędnej marki.

Nadto rzecz była grana wcale godziwie — **Ludwik Benoit** od czasów nieslawnych produkcyjniaków filmowych wyspecjalizował się już w roli „szwarc — charakterów" (choć widziałbym go i w roli dziarskiego detektywa — przypuśćmy z pięknej książeczki „Kat czeka niecierpliwie") i przeprowadza je doprawdy koncertowo, ładnie ruszała się **Izabela Pieńkowska**, poprawny był **Stanisław Breydygant**, udały się epizody, a i **Edward Raduiski** stepował i „robił trupa" z dużym samozaparciem.

Oczywiście można by pogrymasić, jako że zwolniony — dzięki konwencji snu — od zbytniej logiki autor, mógłby pomyśleć rzecz jeszcze bardziej szaleńczo, a może i pikantniej; nie bądźmy jednak przesadnie wymagający. Zabawa była niezła, reżyser — **Kazimierz Oracz** — utrafił w zasadzie w ton, przeto i tę „Kobrę" można zapisać na dodatnie konto łódzkiego ośrodka.

Czekamy na następne.

(CZ)

P.S. Muzycznie opracowała „Kobrę" — bardzo zresztą interesująco — Zofia Widerska, realizatorem strony dźwiękowej była Olga Nowicz (patrz zdjęcie poniżej).

W Nowy Rok Brigitte Bardot

...wystąpiła w telewizji paryskiej (o czym doniósł nieoceniony „Przekrój"). No bo gdzieżby mogła wystąpić, jeżeli piszemy o tym na niniejszej kolumnie?

A że popularność Brygitki wzrosła jeszcze w związku z niewybrednymi roszczeniami i atakami OAS — przeto pozwalamy sobie opublikować jej zdjęcie. Inna sprawa, że na Sylwestra B.B. występowała w innym nieco kostiumie i w ogóle w cylindrze.

W Monte Carlo zakończył się festiwal filmów telewizyjnych w „Kinie krótkich filmów" — koncert życzeń

W niedzielę 14 bm. zakończył się w Monte Carlo drugi międzynarodowy festiwal filmów telewizyjnych. Specjalną nagrodę jury otrzymał dokumentalny film amerykański poświęcony światowej sławy wiolonczaliście Pablo Cassalsowi.

Obok tego przyznano 9 nagród z czego po dwie otrzymały Związek Radziecki, Czechosłowacja i Stany Zjednoczone. Węgry, Francja i Japonia otrzymały po jednej nagrodzie, przyznano ponadto trzy wyróżnienia.

Jeżeli chodzi o tę dziedzinę my się jeszcze dotąd niestety nie liczymy, choć w perspektywach przewiduje się rozbudowę bazy technicznej telewizji dla produkcji filmów na taśmach 16 i 35 mm.

Poza rzeczami zakupywanymi dla TV musimy się tedy zadowalać pozycjami pokazywanymi przez Bolesława Michałka w „Kinie krótkich filmów" — są one zresztą dobierane z niezawodnym smakiem i niezależnie od tego czy pochodzą z dokumentu polskiego, czy zagranicznego, zawsze warte są oglądania.

Jeżeli już wspomnieliśmy o „Kinie krótkich filmów" wypada może dodać, że red. Michałek ogłosił ostatnio wprowadzenie swoistego „koncertu życzeń" i prosi o nadsyłanie propozycji na adres warszawskiej telewizji.

Osobiście zgłaszamy tedy jeden z nowszych filmów WFO zatytułowany „Za winy nie popełnione" — jak donosi „wieść gminna" jest to jedna z najciekawszych pozycji roku, która nie weszła zresztą dotąd na ekrany. Może by tedy raz zrobiła dobry początek właśnie telewizja?

TELEwizja

Szopka łódzka

Teksty na ogół się udały, lalki mniej. Ajnenkiel nie był podobny do Ajnenkiela. Czyż do Czyża, a już Orlowski do Orlowskiego — ani, ani. Najlepsi, najtrafniejsi, czy — powiedzmy prościej — najłatwiej rozpoznawalni byli niewątpliwie Dejmek i Volt, może jeszcze Michalina Tatarkówna...

Trudno oceniać, ile w tym winy projektantów — **Karola Baranieckiego i Józefa Wawrzonka** — a ile pracowni, w każdym bądź razie chwilami byliśmy w poważnym kłopocie, kto jest kto i tylko po tropach wyznaczanych tekstem, dochodziliśmy tożsamości ozób.

Być może część telewizyjnych widzów — mniej zorientowanych w sprawach kultury, a w tych kręgach rozgrywała się przeważnie szopka — była w jeszcze gorszej sytuacji: często gęsto mocno kameralne dowcipy mogły do nich nie dotrzeć, a całość jawić się ciągotwiek nudnawo. Ale na to nie ma już chyba dobrej rady — szopka to rzecz z samej natury całkowicie intymna, obliczona raczej na wtajemniczonych, wszystko jedno czy w arkana sportu, czy w poetycko-publicystyczną działalność Mariana Piechala.

Tu jednak wypada zgłosić żal do autorów, za zbyt wyraźne chyba zawężenie grona bohaterów; obok przedstawicieli życia polityczno-społecznego (Tatarkówna, Kaźmierczak, Ajnenkiel) Ryszardy Marki — używamy pluralis, ponieważ jak wszem i wobec wiadomo Ryszard Marek to spółka satyryków — uwzględnili jedynie ludzi kultury i nauki, zresztą z wyraźną przewagą tych pierwszych.

Tak czy owak szopka — przynajmniej dla zorientowanych — była dowcipna, chwyt z pakowanym do skrzynki Dejmkiem i w ogóle cały tekst kapitalny, podobnie zresztą tekst Volta czy Orlowskiego. Z tego ostatniego odnotowaliśmy sobie ku pamięci taki dwuwiersz: „okruch z pańskiego stołu — to łódzki program jest".

Jeden z Ryszardów Marków

Tadeusz Woronkiewicz w realizacji ograniczył się — i chyba słusznie — do podania samych tekstów i kupletów, bez rozbijania uwagi widza dodatkowymi trikami. Zespół wykonawców — **Teresa Szwicka, Zdzisław Owsik, Jerzy Gryglas i Stanisław Witecki — wywiązali się z wokalno-animatorskich zadań niemal bez** zarzutu. Słowem — możemy być w zasadzie zadowoleni.

(pm)

KOLEJNA

...kandydatka do „brygady technicznej". Może bardziej przypadnie do gustu „Przekrojowi"?

TV na Łysej Górze

Na Łysej Górze — drugim co do wielkości szczycie Gór Świętokrzyskich — rozpoczęto budowę radio-telewizyjnej stacji przekaźnikowej. Niektóre gazety skwitowały rzecz stwierdzeniem, że na Łysej Górze będzie telewizja zamiast czarownic. A my tymczasem wiemy że przy niektórych okazjach TV potrafi wcale nie gorzej straszyć rodzaj ludzki.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 25. I. 62 R.

10.00 Program dla szkół: (dla kl. V—VII) Język polski. Cykl: „Sylwetki wielkich ludzi". Temat: „Warszawa Bolesława Prusa" (W). 10.30—16.45 — Przerwa. 16.45 Program dnia (Łódź lok.). 16.50 „Między Odrą i Obrzycą" — program regionalny (Poznań). 17.20 PKF (W). 17.30 „Porady praktyczne" (Łódź lok.). 17.50 Program dla dzieci: „Książki czekają na Ciebie" (W). 18.30 „Nie tylko dla pań" — magazyn (W). 19.00 Program muzyczny. Recital śpiewaczy artystki radzieckiej Goar Gasparian (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „5 pytań o Bieszczadach" — progr. Tadeusza Kolińskiego z cyklu „Fakty i poglądy" (W). 20.35 Teatr „Kobra": „Zbrodnia na konkurs" widowisko sensacyjne wg Noel Randoma (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 26. I. 62 R.

16.45 Program dnia i tygodnia (Łódź lok.). 17.00 Program tygodnia (W). 17.15 „Spojrzenia i opinie" (Łódź lok.). 17.50 „Zamarznięte rytmy" — program rozrywkowy (Poznań). 18.20 „Znak Zorro" — film serjyny — odc. IX prod. USA (W). 18.55 Antykwariat Wszechnicy TV (Kraków). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Wasz sąsiad" — progr. publicystyczny Konrada Grudy (W). 20.30 „Jak zabawa to zabawa" — progr. dla młodzieży (W). 20.50 „Spotkamy się w operze" — Grzegorza Lasoty (W). 21.15 „Do rodziców i wychowawców" — program wg scenariusza Zofii Doreszowej (W). 22.00 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 27. I. 62 R.

11.00 Program dla szkół: Dla kl. V. Biografia z cyklu: „Poznaj twój kraj". Temat: „U górników". 11.30—15.55 Przerwa. 15.55 Program dnia (Ł). 16.00 Reportaż z Muzeum Broni na Kremlu (Moskwa). 16.45 PKF (W). 17.10 Konkurs 3 min. (dla szkół podstawowych) (W). 18.10 A co dalej? Program dla dzieci najmłodszych (W). 18.25 „Klaps" (magazyn aktualności filmowych) (Ł. ogólnp.). 18.55 Rozmowa z pisarzem Janem Brzechwą. 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Mamzelle — Nitouche" — operetka F. Hervee (W). 22.30 Ostatnie wiadomości (W).

ODGŁOSY tygodnia

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot: A. Kobyliński

KARNAWAŁOWE KŁOPOTY

Ciężkie jest życie łodzianki w okresie karnawału. Żeby pójść na bal, czy zabawę — trzeba się jakoś ubrać. A tymczasem w sklepach sukienki coctailowe były, ale wyszły. Zostały te po 1.000 zł i więcej. Pantofelki balowe przyszły później, bo po Sylwestrze. Na dobrą sprawę mogły całkiem nie przychodzić, gdyż są tak szpetne, że nikt w nich chyba chodzić nie będzie. Świecidełka u „Jubilera" ukazały się także z niejakim „poślizgiem" — już po Nowym Roku — w dodatku w cenie 300—500 zł. Niczym klejnoty rodowe!

Łodzianka ma więc do wyboru: ubrać się, lub iść na bal. Na jedno i drugie przeciętny budżet nie pozwala.

A w Warszawie tanie i ładne kreacje wieczorowe oraz wszelkie dodatki do nich można kupować na pęczki. Wiadomo, stolica...

PRZEPIS NA ZAROBEK

Poniżej podajemy doskonały wypróbowany

Przepis na Zarabianie Pieniędzy (w Karnawale)

Przepis jest dosyć prosty — nie należy się więc dziwić, że od lat jest wykorzystywany. Nie szkodzi, dla Was też starczy. Przepis wygląda tak:

„Aby zarobić pieniądze Instytucja, Komitet Zabawowy, Rada Zakładowa itp. itd. — przystępują do organizowania zabawy karnawałowej. W ramach tzw. konsumpcji obowiązkowej dostarcza się konsumentowi zabawowemu potraw za sumę zł 50, — natomiast cena biletu waha się w granicach od 150 do 200 zł.

Po opłaceniu orkiestry i sprzątaczek pozostaną Wam pieniądze zarobione dzięki naszemu Przepisowi".

A oto przykład, który pomoże Wam zrozumieć mechanizm działania przepisu.

W Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi zorganizowano Bal Sylwestrowy. Cena biletu wynosiła złotych 200. — W ramach konsumpcji uczestnik Balu otrzymywał: dwa kawałki śledzia w oliwie i śledzia w śmietanie, kawałek szynki, kawałek baleronu, sałatkę kartoflaną porcję tatara przemieszanego z bułką, chleb, masło, wodę sodową, 100 gramów wódki.

Na marginesie dodajmy, że wszystko to było podane w wysoce nieestetyczny sposób, że na osiem osób przypadały jedynie dwa noże, że jedzenie było stare i niesmaczne.

Obliczywszy powstałe koszty, zauważymy, że wahają się one w granicach 50 złotych Na sali bawiło się minimum 500 osób — co daje ok. 100.000 zł. Odliczywszy 25 tys. na koszty konsumpcji, 10 tys. na orkiestrę, 5 tys. na sprzątaczki oraz inne, nieprzewidziane koszty — pozostanie niezła sumka 60.000 złotych polskich.

Tak więc, obecnie, Drodzy Czytelnicy, zrozumiawszy jak zarabiać pieniędze w karnawale — możecie sami przystąpić do organizowania zabaw. Natomiast komitetowi organizacyjnemu z PWSTiF im. L. Schillera — już dziś gratulujemy udanego wprowadzenia w życie naszego przepisu

„PRIMA" BEZ POTRĄCEŃ

Wszyscy płacimy za błędy. Jedni wcześniej, drudzy później. Tkacze na przykład — przy każdej wypłacie. Za jeden błąd, od kilkudziesięciu groszy do złotówki z groszami.

Przyjmują to jako rzecz niewesołą, ale konieczną. Z jednym wyjątkiem — kiedy muszą płacić za pięć błędów przy „primie". Tłumacząc na mnie tkacki, a bardziej literacki język, chodzi o rzecz następującą: przepisy przewidują, że w 120 metrach tkaniny uznanej za pierwszy gatunek tzw. „primę" dopuszczalne jest istnienie pięciu błędów. Jeśli tkacz wykonuje tkaniny pierwszego gatunku — pracuje dobrze i zbiera pochwały (niekiedy). Niemniej za te pięć błędów — płaci. A gdyby za nie nie płacił, bardziej zależałoby mu by „primę" produkować Wielu starałoby się pracować „pierwszogatunkowo". Obecnie nie ma większej dla tkacza różnicy — pod względem odpowiadania za błędy popełnione między pierwszym a drugim gatunkiem (drugi zaczyna się już od sześciu błędów).

Specjaliści z tkalń twierdzą, że wprowadzenie zasady „prima bez potrąceń" poważnie podniosłoby jakość i ilość tkanin pierwszogatunkowych.

Specjaliści ze Zjednoczeń, są odmiennego zdania. Tych pierwszych jest ...krotnie więcej. Większość często acz nie zawsze ma rację. Przypominamy, a wnioski zostawiamy... specom.

Tyle jako dziennikarze. Jako klienci sklepów z tkaninami notujemy jeszcze jedno rozczarowanie. Nie ma ideałów nawet w tkaninach. A myśleliśmy, że są — boć przecie płacimy za pierwszy zdawałoby się „bezbłędny" gatunek...

DOM BEZ ŚCIAN

Już maluchy w przedszkolach wiedzą, że fabryka musi być czerwona i koniecznie z kominem. Nic więc dziwnego, że przechodnie, patrząc na nowowzniesiony potężny budynek przy ul. Gdańskiej, gubią się w domysłach — co to być może; biblioteka, nowa hala sportowa, czy jakie licho?

W dzień wygląda to jak wielka, oszklona klatka, wieczorem jak gigantyczna latarnia.

Ten ciekawie rozwiązany szklany dom sprawiła sobie łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych. Do budowy tej supernowoczesnej hali fabrycznej, pozbawionej całkowicie tradycyjnych ścian, użyto oprócz stali aż 6 tys. m. kw. szkła! W dzień widno tu jak na dworze, a wieczorem — jak w dzień. Słoneczne światło zastępuje 1.200 jaskrawo świecących lamp jarzeniowych.

Oby więcej takich fabryk stanowiących prawdziwą ozdobę miasta!

NOS DLA TABAKIERY

Ostatnio „Dziennik Łódzki" zorganizował rozmowę telefoniczną czytelników z dyrektorem MPK — Stanisławem Duniakiem i zastępcą kierownika Wydziału Gospodarki Komunalnej — L. Szymańskim. Rozmowa jak rozmowa — nic specjalnie ciekawego, znalazł się wszakże w niej rodzynek, jakich mało.

Otóż czytelnik spytał dyrektora, czy nie można by na bardzo długiej trasie do Łagiewnik wprowadzić rano o godzinie 6.40, kiedy większość ludzi jedzie do pracy, dodatkowego, dotartego autobusu, bowiem inne niedotarte („trasa na Łagiewniki jest najlepsza dla dotarcia maszyn") pozostawiają wielu pasażerów na przystankach i wobec tego notuje się wiele spóźnień do pracy.

Dyrektor odpowiedział (dosłownie!): „Byłoby najprościej, gdyby po prostu część pasażerów wcześniejszym autobusem odjeżdżała do pracy. W ten sposób bowiem pasażerowie sami stwarzają tłok".

Istotnie! Że też dotychczas nikt na to nie wpadł! Przecież to sami pasażerowie się tłoczą, a nie Dyrekcja MPK. A zatem czy nie byłoby „po prostu najprościej" gdyby część pasażerów szła do pracy pieszo? Też komuś zawracać głowę podobnymi sprawami, kiedy wiadomo, że jedynym problemem dyrekcji MPK jest samoobsługa.

ECH, ECH...!

Przyszło szereg osób i udzieliło nam wielu porad (wstrząsnąć, puknąć, przełączyć antenę, odkurzyć, wyrzucić). Przyszedł też jeden człowiek, który „się zna" i powiedział:

— W tym telewizorze (marki „ORION") zepsuła się lampa ECH 81. Tę lampę trzeba wymienić.

Tego samego dnia zadzwoniliśmy do kilku punktów napraw, reklamujących się w naszych gazetach. A oto wynik — przy czym pytaliśmy o CENĘ takiej wymiany.

Pogotowie Spółdzielni „Precyzja" Wschodnia 23: Koszt lampy i wymiany w granicach 150 zł.

Pogotowie Telewizyjne J. Bryk, Jaracza 7: nie powinno to kosztować więcej niż 100 zł.

Naprawa Telewizorów A. Rymiszewski, Główna 39: 33 zł wymiana, 35 zł przyjazd plus koszt lampy.

W SOT przy ul. Zarzyckiej wymiana kosztuje tylko 30 zł a przyjazd — 35 zł. W SOT przy ul. Kościuszki poinformowano nas, że lampa typu ECH 81 kosztuje 38 złoych.

Jakie z tego wszystkiego płyną wnioski?

Pomijając sprawę widocznej rozbieżności w cenach, uderza fakt, że za wymianę lampy posiadacz telewizora musi opłacić haracz w wysokości **prawie dwukrotnie przekraczającej** koszt samej lampy. Tymczasem owa „wymiana" zajmuje wykwalifikowanemu pracownikowi dokładnie trzy minuty i polega na odjęciu ścianki, wykręceniu jednej a wkręceniu drugiej lampy ECH 81. Rozumiemy oczywiście, że za to trzeba zapłacić — pytanie tylko ile?

MOWA KRÓTKA i KONKRETNA

Słuchajcie pilnie wszyscy nieszczęśliwi uczestnicy tasiemcowych nasiadówek:

Zdarzył się ostatnio w Łodzi wypadek bez precedensu, na pewnej bardzo ważnej konferencji dyskusja z udziałem 14 mówców nie trwała cały dzień, nie trwała 5 godzin, nie trwała 3 godziny, lecz zakończyła się przed upływem 100 minut!

Rzecz miała miejsce w czasie pierwszego dnia obrad sesji „Łódź jako przedmiot badań naukowych". Wyznaczono czas wypowiedzi — 7 minut i żaden z dyskutantów nie przekroczył limitu. A przecież każdy z zabierających głos omawiał sprawy bardzo ważne, bogate w treść, np. badania językowe obszaru łódzkiego, historia szkolnictwa w Łodzi, dzieje Łodzi przedkapitalistycznej, itp. kompleksowe zagadnienia.

Pewien bywały w nasiadówkach człowiek sprawę uogólnił: właśnie dlatego mówili krótko, że mieli o czym mówić!

ZA 18 LAT

Na wspomnianej już sesji naukowej zastępca przewodniczącego MKPG — mgr M. Jutta uchylił rąbka tajemnic planu perspektywicznego Łodzi do roku 1980.

Według przewidywań, za 18 lat Łódź będzie sobie liczyła około 850 tysięcy mieszkańców, jednak do tego czasu tzw. „zagęszczenie" w mieście spadnie do 0,95 lokatora na izbę.

Obok wielu nowych fabryk prawdopodobnie powstanie w Łodzi również olbrzymi zakład produkcji samochodów, zatrudniający 15—20 tysięcy osób.

Jak można przypuszczać, skończy się więc wówczas problem mieszkaniowy dla ludzi, ale rozwinie się na dobre bardziej drażliwy — „mieszkań" dla samochodów Zobaczymy, co gorsze.

POŁTORA KILO MEDALI

Prasa codzienna doniosła o sukcesie łódzkiego „Pstrąga" i o nagrodach, jakie otrzymał w Częstochowie. Nie wspomniano jednak, że przy tej okazji wszyscy członkowie sześcioosobowej ekipy „Pstrąga" występującej w Częstochowie zostali udekorowani przez organizatorów specjalnymi medalami.

Każdy medal wyrytym na nim tekstem i rysuneczkami upamiętnia częstochowski przegląd piosenki studenckiej i waży ponad ćwierć kilograma.

Wiadomo — Częstochowa — stolica kopalnictwa rud żelaza.

TAXI – GIRLS

Wszystko co mrokiem okryte, tajemnicze jest i niezwykłe. Weźmy, na przykład, mroki średniowiecza, mroczne zakątki duszy ludzkiej i mroczne reportaże naszego „Expressu Ilustrowanego" zatytułowane „W nocy". Treść tych ostatnich jest niekiedy naprawdę niezwykła...

Oto relacje wnikliwego reportera z nocnej wędrówki taksówką po Łodzi:

„Obok Grand Hotelu stoi kilka taksówek. Obok kilka kobiet podejrzanej konduity „dyskutuje" z niezbyt trzeźwymi mężczyznami. Po chwili jedna „para" znika w taksówce. Obok „Simu" dwieście metrów od właściwego postoju stoi taksówka (numer zanotowaliśmy). Znak „wolny" w górze, a w środku dwie panienki — Tak mówi prezes Wójcikowski — to nas, olbrzymią większość porządnych i uczciwych taksówkarzy, najbardziej denerwuje. Ci kierowcy taksówek, którzy stali na Piotrkowskiej i ten koło „Simu" **zachowują się nieuczciwie w stosunku do reszty, która czeka cierpliwie na postoju."**

Nas też denerwuje. Ten fragment. Przeczytaliśmy go parę razy, aby dobrze zrozumieć. I zrozumieliśmy. Więc taksówkarzy — porządnych i uczciwych (!), najbardziej denerwuje że ci dwaj i ten koło „Simu", nie stali na postoju. Niepodporządkowanie się rygorom cierpliwego czekania na postoju jest nieuczciwe. Fakt, że wozi się prostytutki z ich klientami, że z taksówki robi się — przepraszamy, b..... na kółkach, jest mniej istotny. Kwituje się go więc słowami; „Jak najsurowiej władze zrzeszenia karać też będą wszelkie wypadki współpracy taksówkarza z prostytutkami. Reagujemy na każdą o tym wiadomość."

Trudno uwierzyć, aby wiceprezes sekcji transportu osobowego Woj. Zw. Zrzeszeń Prywatnego Handlu i Usług w Łodzi — p. Wójcikowski, tak właśnie zaobserwowane fakty naświetlał. A jeśli nawet, to reporter powinien z podobną interpretacją polemizować. Przecież to zwykłe sutenerstwo — trzymanie „panienek" w taksówce ze znakiem „wolna". Taxi-girls w łódzkim wydaniu. I za to władze zrzeszenia będą karać — to znaczy, że na razie nie karzą. Na razie reagują. Jak? — też pozostaje słodką tajemnicą autora, który na wyżej zacytowanym zdaniu swój esej kończy.

P.S. Tytuł reportażu „Z taksówką numer 7 po Łodzi", także budzi niejakie zastrzeżenia. Tyle, że nie natury moralno-logicznej, a gramatycznej. Na ogół jeździ się „w taksówce" lub taksówką". „Z taksówką" — można mieć najwyżej kłopoty. Szczególnie, jeśli nie wsiada się z rozsądkiem...

LINCZ NAD GROBEM

Ozorków przeżył niedawno wielkie wydarzenie na miarę Litle Rock. Zaledwie pewien młody wdowiec zdążył położyć wieńce na świeżym grobie swej małżonki, gdy uczestnicy pogrzebu rzucili się nań i zaczęli okładać go pięściami. Tylko dzięki szybkiej orientacji uszedł on cało z życiem. Zbiegł z cmentarza i zabarykadował się w pobliskiej masarni skąd przed rozgniewanym tłumem uwolniła go milicja.

Otóż, jak się okazuje, przy puszczalnym powodem skandalu była plotka, którą rozpuścił na cmentarzu pewien sąsiad podkochujący się w nieboszczce. Rozpowszechniał on wiadomość, że bezpośrednim sprawcą śmierci młodej kobiety był jej mąż Jerzy Z.

Ot, co znaczy miłość pomieszana z nienawiścią **zochanka.**